

Tyszkiewiczowie. Kretynga 2.



Helena Klotylda z Tyszkiewiczów Ostrowska, autorka pamiętników o życiu rodziny Tyszkiewiczów w XIX w. (z lewej) z matką Zofią Tyszkiewiczową, fot. Paulina Mongird, 1918-1919 r.,
© Kretinga Museum

Joanna Sokołowska-Gwizdka (Austin, Teksas)

System opieki nad dziećmi był ustalony. Do piątego roku życia zajmowała się nimi piastunka, pani Michałowska. Była wprawdzie mała, kulawa, nosiła czarną pelerynkę i czarny czepeczek, ale i tak wszyscy ją kochali, bo zastępowała matkę. Dzieci od piątego do dziewiątego roku życia przechodziły pod opiekę guwernantki Francuzki Mlle Fayard. Uczyły się głównie francuskiego i przedmiotów początkowych. Francuzka była niska, otyła, ale za to bardzo ruchliwa. Ubierała się zawsze w luźne kaftany z białym kołnierzykiem. Do rodziny była tak przywiązana, że gdy wysłano ją kiedyś do Paryża, szybko wróciła, twierdząc, że w Kretyndze jest jej dom. Dzieci kochała jak własne, mimo że była bardzo surowa. Niezwykle pedantyczna, w pokoju miała idealny porządek, nie można więc było od niej wyjść, nie odstawiając krzesła na miejsce. Twierdziła, że najbardziej kocha Feliksa, bo gdy kiedyś się na niego rozgniewała i zaczęła krzyczeć, ten ze spokojem wziął butelkę z atramentem i w nią rzucił. Ma więc chłopiec charakter.

Po skończeniu dziewiątego roku życia, chłopcy jechali do szkół z internatem, a dziewczynki przechodziły pod opiekę panny Justyny Dmochowskiej. Ta była osobą niezwykle wykształconą, studia kończyła w Paryżu. Uczyła religii, historii, literatury, przyrody, geografii, języka polskiego i francuskiego oraz fizyki i logiki. Osobnym przedmiotem była nauka pisania listów. Pod okiem panny Dmochowskiej dziewczynki musiały na papierze sprawnie się wysławiać w co najmniej czterech językach.

Nauczycielka nie była zbyt nowatorska w swoim systemie nauczania, uznawała metodę pamięciową za najwłaściwszą, niewiele tłumaczyła, kazała przyjmować „na wiarę”, że tak jest. Zosi i Helence to bynajmniej nie przeszkadzało, ale Marysia, z zacięciem naukowym, często protestowała. Dlatego trzeba było sprowadzać dla niej z Połogi dodatkowych nauczycieli. Panna Dmochowska jedynie do nauki historii wprowadziła pomoce naukowe. Dużą tablicę, podzieloną na kwadraty, które przedstawiały jeden wiek. Tam wpisywało się najważniejsze wydarzenia dla każdego narodu. Dwie szable oznaczały wojnę, ściśnięte dłonie pokój, korona wstąpienie na tron itd. Dziewczynki miały przy tym dużo zabawy. Nauczycielka powinna nadzorować pracę innych guwernantek, ale jakoś jej to nie wychodziło, do niczego się nie wtrącała, nie było więc niepotrzebnych konfliktów.



Józef Tyszkiewicz z żoną Zofią z Horwattów, 1882-1885 r., fot. Otto van Bosch, © Kretinga Museum

Dla sprawnego opanowania nauki języka angielskiego sprowadzono rodowite Angielki Miss Hardy, Miss Hislop i Miss St. Clair. Dwie pierwsze nie były zbyt udane. Jedna ciągle moczyła nogi w ceberku, przez co nie można było wyjść z jej pokoju, druga miała uczyć jeszcze matematyki, ale jakoś jej to nie wychodziło. Dopiero Miss Clair stanęła na wysokości zadania. Ojciec jej był dyrektorem College'u, córki więc przechodziły kurs męskiej szkoły. Miss znała wyższą matematykę, algebrę i

geometrię. Tylko że wszystkie rachunki u niej odbywały się w funtach sterlingach, szylingach i pensach. Wszystkie nauczycielki miały wysoką pensję, bo po pięćdziesiąt rubli miesięcznie. Czuły się jak w rodzinie, mogły zapraszać bliskich i przyjaciół na całe miesiące. A gdy przeszły na emeryturę pozostawały nadal na utrzymaniu.

Oprócz na stałe przebywających nauczycielek, wnoszących niewątpliwy koloryt do tego domu, w Kretyndze był zwykle jeszcze cały zastęp tzw. domowników. Należała do nich rodzona siostra hr Zofii ciotka, Grabowska, która większość swojego życia spędzała w pokoju z nieodłączną służącą Olesią. Nic nie chciała, nic jej do życia nie było potrzebne, czas zajmowała czytaniem i była chodzącą encyklopedią. Gdy któreś z dzieci czegoś nie wiedziało, biegło zaraz do ciotki Grabowskiej. Żona niezwykle przystojnego i urokliwego Karola Grabowskiego, po urodzeniu córki została sparaliżowana. Choroba nigdy jej nie minęła, po wydaniu więc córki za mąż zamieszkała z siostrą pozwalając tym samym mężowi na hulaszcze życie. Gdy wuj Karol, niezwykle rzadko wprawdzie, głównie w sezonie letnim, odwiedzał swoją ślubną małżonkę, ta z wysokości kanapy podawała mu jedynie dłoń do ucałowania, nie zamieniając z nim żadnego słowa. Hr Zofia, jako osoba niezwykle religijna, namawiała często siostrę do przyjmowania sakramentów świętych, ale ta twierdziła, że jest zagorzałą ateistką, bo gdyby Bóg istniał, to by jej życie wyglądało inaczej.

W Kretyndze było już dwoje chorych wymagających ciągłej opieki. Do domowników zaliczano więc i doktorów, na stałe zainstalowanych w pałacu. Pierwszym doktorem był Polak dr Sawicki, po nim nastął Kurlandczyk dr Boelendorf, a następnie po kolei dwóch Niemców dr Ortman i dr Krejtner. Ten ostatni, podobnie jak dr Ortman, żonę znalazł w Kretyndze. Była to wychowanica Tyszkiewiczów niezwykle piękna, ale o nieznośnym charakterze, Marylka. Kiedyś hr Józef dowiedział się, że dr spotyka się potajemnie z Marylką w jednej z grot Ogrodu Zimowego. Jako prawny opiekun dziewczyny, kazał się tam zawieść w odpowiednim momencie. No i coż mógł innego zrobić biedny doktor, pozostało mu tylko oświadczyć się. Za chwilę słabości musiał zapłacić całym życiem, bo Marylka od niego uciekła, zostawiła mu trójkę dzieci i dużo jeszcze miał przez nią problemów.



Ludwik Haiduk, muzyk na dworze w Kretyndze, fot. Mai és Társa, Budapeszt, II poł. XIX w., © Kretinga Museum

Hr Józef jako zagorzały wielbiciel wszelkiego rodzaju wynalazków, musiał mieć też przy sobie na stałe inżyniera, albo elektrotechnika, którzy również zaliczali się do domowników. No i oczywiście nie można zapomnieć o plenipotencie, panu Jarmułowiczu. Jego zadaniem było objeżdżać wszystkie liczne i rozległe majątki. Miał on dużą rodzinę, więc żonę wysyłał na zimę do miasta, a sam zamieszkiwał w kretyngowskim domu. Pan Jarmułowicz był wielkim patriotą, uwielbiał literaturę polską i

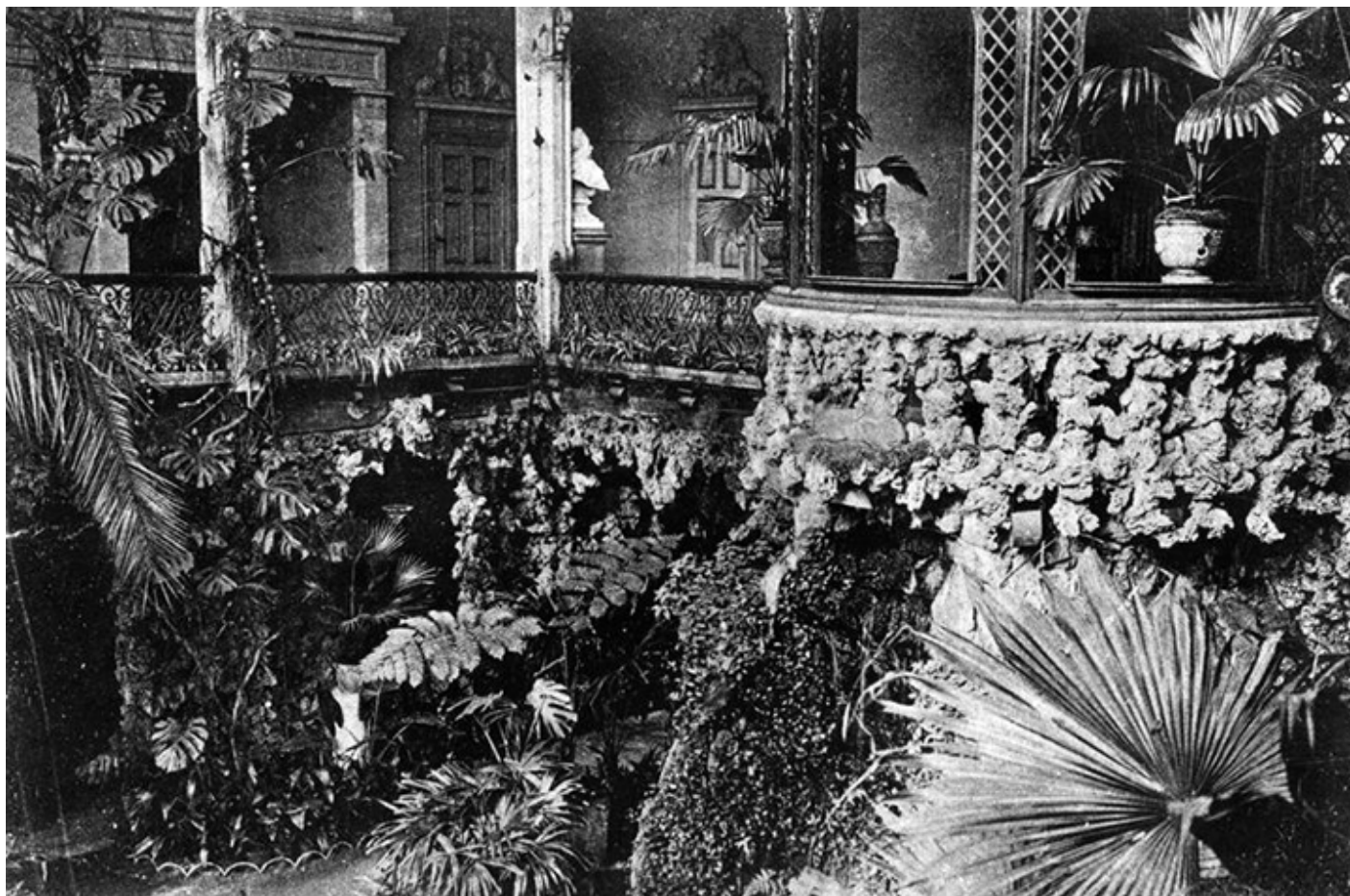
często przy stole, wieczorami z wielkim namaszczeniem odczytywał strofy z poematów Mickiewicza, Słowackiego, Krasińskiego. Robiło to na wszystkich domownikach duże wrażenie. Ci wszyscy ludzie, zarówno rodzina, jak i rezydenci, nauczyciele i inni, należeli do tzw. „pierwszego stołu”. Był jeszcze „drugi ” i „trzeci stół”.

Do „drugiego stołu” należeli wszyscy ci, którzy skupiali się w tzw. Bufecie. Tam schodzili się na posiłki różni domowi pracownicy, a rządziła tu wszechmocnie apteczkowa. Była ona szafarką kuchni, stołowni i spizarni. Drugą wszechwładną osobą w bufecie była panna Petronela Pylińska. Zwyczajowo rodzice wydając córkę za mąż, dawali jej wraz z wyprawą schludną, starannie ubraną osobę, która miała się tą wyprawą opiekować i pomagać młodej mężatce w prowadzeniu domu. Taką osobą była panna Petronela. Panna służąca musiała być szlachcianką, nawet z drobnej szlachty i odróżniała się od pokojówek, chociażby tym, że siedziała przy drugim stole, a nie przy trzecim. Pokojówka zwykle usługiwała pannie służącej, sprzątała jej pokój, dbała o jej rzeczy. Do obowiązków panny służącej było przychodzić co rano do dzieci, lub do państwa, budzić, dzieci czesać i ubierać, utrzymywać wszystkie osobiste rzeczy w porządku. No i naturalnie każda osoba w majątku Tyszkiewiczów musiała umieć co najmniej śpiewać. Panna służąca zwykle nie zgadzała się siedzieć w razie potrzeby przy stangrecie, bo uważała, że swój honor ma i to jej ubliża. Tak więc taką osobistą panną służącą

była dla hr Zofii panna Pylińska, otrzymana jakoby w posagu od rodziców Horwattów z Barbarowa.

Wyglądała na dostojną matronę, niezwykle schludna, zawsze starannie ubrana z nienagannie białym i wykrochmalonym kołnierzykiem i żabotem, włosy uczesane z przedziałkiem, nigdy nie oparła się siedząc, zawsze prosta i sztywna, jak ten wykrochmalony kołnierzyk. Rodowita wilnianka mówiła czystym akcentem wileńskim, używała słów, które nie wszyscy znali. Mówiła „meszty” na pantofle, „kolonki”, na spinki do mankietów, „wasistas” na lufcik. Miała przy tym mnóstwo właściwych sobie powiedzonek *niech cię kaczki podepczą, czy na pochyłe drzewo kozy skaczą*. W starszym wieku zrobiła się bardzo gderliwa, co stało się już nawet uciążliwe. Wiecznie marudziła, *a po co to wszystko, nic z tego dobrego nie wyniknie, a po co pani hrabina tego tyle kupuje, po co tyle pieniędzy wydawać itd*. W każdym razie stanowiła z całą swoją oryginalnością jeden ze stałych elementów kretyngowskiego domu. Do bufetowego towarzystwa należały też i inne panny służące Czasami do bufetu przychodziły nauczycielki, bo atmosfera tam zwykle była pogodna i wesoła. Grano w karty, żartowano, muzykowano na mandolinie.

Trzeci stół, najliczniejszy, obejmował głównie pracowników fizycznych, pracujących w obrębie majątku.



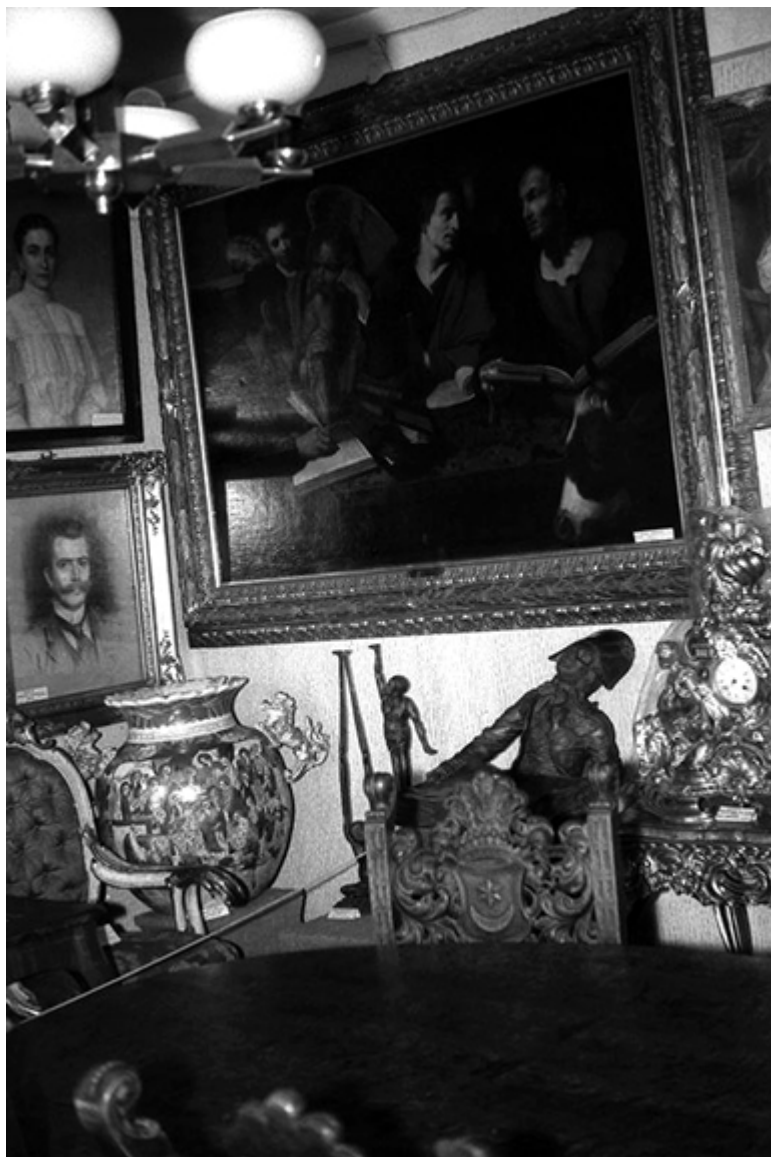
Oranżeria w pałacu w Kretyndze, fot. Paulina Mongird, pocz. XX w., © Kretinga Museum

W Kretyndze pora roku wyznaczała codzienny bieg. Jesienią wokół domu było jeszcze mnóstwo róż i roztaczającej wspaniały zapach lawendy. Aleje usypane żołądziami i kasztanami, tonęły w kolorowych liściach. Zimą pod dom zajeżdżały sanie po skrzypiącym śniegu. A wiosną na trawnikach wyskakiwały pierwsze fiołki i klomby białych anemonów. Potem koło jeziora i kaskady ukazywały się konwalie. Do tego dochodzące dzwony od strony Klasztoru Bernardynów i pianie kogutów od strony folwarków. Potem na trzy miesiące wszystko cichło, pustoszało, zaczynał się sezon połągowski.

Tryb życia w kretyngowskim domu był raczej spokojny i uregulowany. Wszyscy wstawali o godz. 7.00. Dziewczynki musiały się umyć, ubrać uczesać przy pomocy panny służącej i przygotować do lekcji. Zimą mycie było kłopotliwe, bo pokój był słabo ogrzany. Tylko w niedzielę, gdy można było dłużej pozostać w łóżku, w pokoju robiło się już cieplej. Do mycia służył półokrągły miedziany basen na nóżkach z kranikiem. Ranne śniadanie każdy jadł osobno, gospodarze u siebie w sypialni, dziewczynkom podawano zwykle na galerii zimowego ogrodu, czasem w małym pokoju obok, ze względu na możliwość skorzystania z pieca. Panienki mogły wtedy nakłuwać bułki na patyki i piec nad ogniem robiąc z nich chrupiące tosty. Do tego kawa, herbata i mleko do wyboru. Po krótkim śniadaniu wolno było przebiec szybko do drugiego domu odwiedzić ojca i zapytać się felczera jak minęła noc. Lekcje odbywały się 4 godziny do południa i dwie po południu. Zaczynały się o w pół do dziesiątej, według szwajcarskiego zegara z kukułką. Zawsze o w pół do drugiej podawano w Zimowym Ogrodzie obiad. Wtedy zbierali się wszyscy domownicy, hr Zofia była zawsze, hr Józef, gdy czuł się lepiej. Wtedy dzieci się cieszyły, bo ojciec pilnował, żeby nie jadły tego, czego nie lubią. Pamiętał, gdy jako mały chłopiec był zmuszany do jedzenia ryżu i do tej pory uważał, że to było nie potrzebne znęcanie się.

Po obiedzie wszyscy zasiadali w bocznej galerii na pluszowej kanapie przy marmurowym stole, podawano kawę lub herbatę.

Wywiązywała się wtedy zwykle rozmowa o polityce, komentowano to, co donosiła prasa. Potem dziewczynki miały obowiązkowy spacer bez względu na pogodę, chyba że na dworze była jakaś niezwykła burza z piorunami. Na spacer chodzono głównie do miasteczka, po jakieś drobne zakupy, np. cukierki, których dzieci nie miały na co dzień, więc czasem przeznaczają na słodczy swoje kieszonkowe. Różne słodkie smakołyki były na stołach wręcz w nadmiarze, ale tylko w okresie świąt. Podczas roku szkolnego uważano, że małe ciasteczko, ogólnie podawane do poobiedniej kawy w zupełności powinno wystarczyć. Dzieci nie mogły grymasić, nie wolno było im się skarżyć, że czegoś im brakuje, a w razie pilnej zachcianki, miały swoje kieszonkowe, w nieprzekraczalnej, zawsze takiej samej kwocie. Czasami spacerowały aż na folwarku, gdzie dochodziło się szeroką aleją. Jakaż to wtedy była atrakcja wejść do obory i dostać mleko prosto od krowy. Po spacerze znów odbywały się lekcje przed i po podwieczorku, który o godzinie 17.00 zwykle był celebrowany owocami wyhodowanymi przez pana Hejduka. O godz. 20.00 znów wszyscy schodzili się do jadalni na kolację. Potem każdy robił co chciał, często zimowe wieczory kończyły się koncertem, lub głośnym czytaniem polskiej literatury i angielskich powieści. Francuskich utworów nie wolno było dzieciom czytać, natomiast angielskie bez żadnej kontroli, czy ograniczeń. Dzieci o godzinie 21.00 szły spać, dorośli jeszcze często długo gawędzili przy świetle łukowych lamp i szumie zimowej kaskady.



Fragment ekspozycji Muzeum Historii Lokalnej Kretyngi,
fotograf nieznany, koniec lat 70. XX w., © Kretinga Museum



Fragment ekspozycji Muzeum Historii Lokalnej Kretynki, fotograf nieznany, koniec lat 70. XX w., © Kretynka Museum

Ten uregulowany, kretynkowski, jesienno-wiosenny tryb życia zmieniał się diametralnie dwa razy do roku w okresie świąt. Przyjeżdżali wówczas chłopcy ze szkół w Petersburgu i liczni goście. Czuło się, że jest święto. Pięciu dorastających młodzieńców wprowadzało ogromny ruch i ożywienie, opowiadając o swoich różnych szkolnych wyczynach. Uważano za rzecz naturalną, że młodsze siostry są na ich usługi. Nawet hr

Zofia, zwykle zajęta sprawami majątkowymi i chorobą męża poświęcała im dużo uwagi. Wyjątkową słabość miała do Władysława, który był taki czarujący. A że zwykle nie miał umiaru w wydatkach, matka często go potajemnie wspomagała. Hr Józef wymagał, żeby synowie ze swojej comiesięcznej pensji odkładali jakąś określoną sumę, jako żelazne *l'argent de garde*. Wszyscy się do tego stosowali, tylko nie Władzio, który był takim estetą, kochał się w pięknych przedmiotach, no i miał niezwykle hojny gest dla biednych, że nigdy nie umiał sobie poradzić z umiarem w wydatkach. Władzio był przy tym czuły i troskliwy. Jako jedyny z synów potrafił okazać matce swoje przywiązanie. O wszystkim jej mówił, pisywał do niej codziennie. Najstarszy Oleś okazywał swoją dojrzałość we wszystkim, co robił. Starał się zastępować chorego ojca, każdemu coś poradził, młodsze siostry traktował z pobłażaniem.

Podczas świąt Bożego Narodzenia niezwykle przyjemnie było siedzieć wśród palm, szemrzącego wodospadu i całej tej egzotycznej zieloności, gdy za oknem była śnieżna, zimowa zawierucha. Hr Tyszkiewiczowie w Landwarowie i zaraz po przeprowadzeniu się do Kretyngi urządzali dla swoich dzieci choinkę. Później, gdy dzieci już podrosły, zrezygnowali z tego zwyczaju, ku niezadowoleniu tych najmłodszych. Choinka urządzana była tylko dla dzieci służby. Przeznaczano na ten cel pieniądze, które do dyspozycji dostawały już miesiąc wcześniej młode panny Tyszkiewiczówny. Miały one zrobić listę dzieci,

przewidzieć, co im najbardziej potrzeba i z czego się ucieszą i przygotować prezenty. Choinkę ogromnej wielkości ustawiano w Ogrodzie Zimowym. Przyozdabiana mnóstwem zabawek, świecidełek i lampek, a na końcu owijana od góry do dołu cienutkimi, złotymi nićmi, tworzącymi mieniącą się sieć, wyglądała imponująco. Dzieci służby czekały na dole ogrodu, aż się je zawoła na rozdanie prezentów.

Wigilia obchodzona była bardzo uroczyście. Na kolację wigilijną, tzw. „kucję” zapraszano oprócz domowników i gości wszystkich, całe towarzystwo z bufetu oraz niektóre rodziny oficjalistów dworskich i księży z pobliskiego klasztoru. Poziom wykształcenia i kultury wśród duchowieństwa był niski, bo bez pozwolenia władz nie wolno było przyjmować kandydatów na duchownych do seminarium, a władze wydawały pozwolenia tylko dla tych, o miernych zdolnościach. Tak więc siedzący przy stole różowy, jowialny, nie za wiele mający do powodzenia ksiądz Proboszcz Terpejko, zaczynał „kucję” od modlitwy i dzielenia się opłatkiem ze wszystkimi obecnymi. Na stole wigilijnym były trzy zupy: migdałowa, barszcz z uszkami i zupa z wina tzw. szodonowa. Potem ryby: szczupak faszerowany, karp z rodzynekami, ryby smażone w cieście i słodkie dania: kisiel, kluski z makiem, kompot z suchych owoców.

Młodzi Tyszkiewiczowie sadzani byli pomiędzy księży i oficjalistów dworskich, a hr Józef bacznie im się przyglądał jak

radzą sobie z konwersacją z sąsiadami. Z reguły nie za wiele mieli wspólnych tematów. Wymagania dotyczące zachowania się wobec innych były rygorystycznie przestrzegane. Gdy goście wyjeżdżali z Kretyngi, żeby zdążyć na odpowiedni pociąg, musieli wyjść ok. 7 rano. Nie do pomyślenia było, żeby któryś z chłopców nie wstał pożegnać się, obojętnie czy to była niedziela, czy święta. Jeżeli, któryś z synów zasnął musiał natychmiast napisać list z przeproszeniem do odjeżdżającego gościa i dać ojcu do wysłania.

Po wigilijnej kolacji, zaczynał się uroczysty koncert, z głośnym śpiewaniem kolęd przez wszystkich domowników i pracowników. Dopiero drugiego dnia świąt otrzymywało się prezenty, ale w innej formie, niż spod choinki. Rodzice, dzieci, nauczycielki i goście dostawali po trzy losy, wszystkie wygrywające. Do pierwszej kategorii należały prezenty bardziej kosztowne, artykuły podróżne, przybory do pisania, ozdoby do pokoju, do drugiej trochę mniejsze, a do trzeciej drobiazgi. Po śniadaniu wszyscy wchodzili do salonu, gdzie na dużym stole poustawiane były wszystkie przedmioty biorące udział w loterii fantowej. Po wylosowaniu zaczynała się druga część zabawy, wymienianie się w sposób jak najbardziej korzystny.



Helena Klotylda z Tyszkiewiczów Ostrowska na koniu (z prawej) przed pałacem w Korczewie, fotograf nieznan, © Kretinga Museum

Podczas świąt oprócz rodziny, która przyjeżdżała z daleka, Kretyngę odwiedzali też sąsiedzi. Najczęstszymi gośćmi byli księstwo Ogińscy z Płungian. Najpierw zajeżdżały sanie, albo kareta zaprzężona w czwórkę koni, ze strzelcem na koźle obwieszczającym, że księżę pan jedzie. Po czym wysiadał księżę Michał, mały, czarny, z długim, podkreśnionym wąsem, wyglądem przypominającym Włocha, szybki, ruchliwy, jakby się gdzieś spieszył. Potem w bramie ukazywał się następny podobny

ekwipaż, którym w odwiedziny przybywała księżna pani z domu Skórzewska. Smutne pędziła życie w ogromnym pałacu w Płungianach, sama, bez dzieci, odwiedziny w sąsiedztwie zwykle więc celebrowała. U Ogińskich tylko raz do roku odbywały się wielkie zjazdy, na św. Michała. Wtedy wszystkie orkiestry (a każdy z braci miał swoją) miały pole do popisu. Balowano cały tydzień. Ogromny, z przepychem urządzony pałac i jeszcze większy park zapełniał się gośćmi, ruchem i gwarem. Co jednak te orkiestry robiły cały rok, tylko Bóg raczy wiedzieć. Legendy krążyły po okolicy o starej księżnej Ogińskiej, z domu Kalinowskiej. Podobno była niegdyś nałożnicą cara i stąd jej wygórowane mniemanie o sobie. Przed ślubem syna Michała miała swój własny, wygodny apartament w Płungianach. Kiedyś przyjechała odwiedzić młodą parę po ślubie, dowiedziała się od służby, że podczas jej nieobecności ktoś nocował w jej apartamencie i tak się zdenerwowała, że kazała wszystkie meble oraz to co się dało, zerwać ze ścian wynieść na dziedziniec i publicznie spalić, po czym nigdy już do syna nie przyjechała.

Goście typu księżna i książę Ogińscy wprowadzali bardzo ceremonialną atmosferę. Myślano tylko o tym co wypada, a co nie, żeby przypadkiem kogoś nie urazić. Dzieci nie zawsze jednak stosowały się do etykiety. Raz podczas takich bożonarodzeniowych odwiedzin młodzież wymyśliła zabawę. Czerpiąc wodę z malowniczo położonych szemrzących strumyków na dole Zimowego Ogrodu zaczęła oblewać

sikawkami gości siedzących na galeriach i sztywno prowadzących dysputę, jak to w dobrych towarzystwach bywa. O dziwo, goście żądni odwetu chwycili za dzbanki i lali z góry na chybił trafił. Mimo ewidentnych szkód i konieczności zmiany garderoby, towarzystwo się rozruszało i wesoło już było do wieczora.

W okresie świąt nie lada rozrywką były zabawy teatralne, mające typowy charakter salonowy. Układano szarady, wystawiano muzyczne na ogół jednoaktówki, przedstawiano żywe obrazy, z całym pietyzmem do ról się przygotowując. W amatorskie przedstawienia zaangażowani byli wszyscy, gospodarze, goście i służba. Bale kostiumowe też były pożądane, jako jedna z rozrywek. Kiedyś, ku zdumieniu wszystkich, wbiegł, a raczej wskoczył wielkimi susami, gość z sąsiedztwa Stanisław Gawroński, przebrany za kota, z wielkim czarnym ogonem i długimi wąsami. Podobno służący obszywał go całą noc skórkami króliczymi, aż zaszył go całkowicie zostawiając tylko otwór na oczy.

Nowy Rok obchodzono tradycyjnie. Gdy wybiła 12.00, wszyscy szli do kościoła na modlitwę, potem kierowali się do gabinetu ojca, gdzie czekały już poustawiane kieliszki z szampanem i wielkie torty z wypisaną nową datą.



Rodzina Tyszkiewiczów, Kretynga, fot. Benedykt Henryk Tyszkiewicz, II poł. XIX w., © Kretinga Museum

Na Wielkanoc mniej gości przyjeżdżało z daleka. Stół wielkanocny szykowano ogromny. Wszyscy oficjaliści dworscy i inteligencja z miasteczka przychodziła składać życzenia, zapraszani więc byli do stołu. Licznie do kretyngowskiego domu przybywali urzędnicy rosyjscy oraz wojskowi z popem na czele. Wprawdzie niechętnie ich się widziało, bo taki widok raził uczucia patriotyczne, ale wrodzona polska gościnność nakazywała, by ich też zaprosić na świąteczny poczęstunek. Hr Zofia nie mówiła po rosyjsku, więc uprzejmie się uśmiechała, kiwała głową i dawała znaki domownikom, by gościom napełniali

talerze. Dopiero, gdy wszyscy byli obsłużeni, wolno było gospodarzom i młodzieży nałożyć sobie. „Święcone” trwało dwa tygodnie. Przez pierwsza dwa dni świąt nie podawano na gorąco rosółu, potem można już było jeść wszystko. Szynki, pieczeń cielęca, głowizna, młode prosiaki, drób, ryby w galarecie, rosyjskie paschy, wspaniałe do tego sosy w wielkim wyborze. Największą atrakcją były jednak ciasta. Olbrzymi „baumkuchen” miał metr wysokości. Do tego dwanaście ogromnych mazurków, pomarańczowy, kawowy, czekoladowy, daktyłowy, migdałowy, bakaliowy, królewski itd. Ponieważ kucharze w Kretyndze głównie pochodzili z kresów, więc wyspecjalizowani byli w świątecznych babkach. Na stole musiało być co najmniej dziesięć gatunków: chlebowa, petynetowa, kawowa, szafranowa... Kucharze coraz to donosili świeże potrawy, uzupełniali znikające. Przez pierwszych kilka dni jedzenie może i było atrakcją, bo takiej obfitości różnych specjałów na codzień nie jadano, ale po dwóch tygodniach to i najbardziej wykwintna potrawa, podana w nadmiarze mogła się przejeść.

Po świątach w maju odprawiane zawsze było Nabożeństwo Majowe. Ustawiano wtedy koło grotty Zimowego Ogrodu, figurę naturalnej wielkości Matki Boskiej z Lourdes. Figura przewieziona była potajemnie przez granicę, ubrana w duży kapelusz i pelerynę. Ołtarz ubierany wiosennymi kwiatami, najpierw anemony, potem czeremchy, konwalie i bzy. Wieczorem wszyscy domownicy, przy oświetlonym, pachnącym ołtarzu

śpiewali „Zdrowaś Maryja” i „Serdeczna Matko”.



Zofia z Horwattów Tyszkiewiczowa, fot. G. Felici, pocz. XX w., © Kretinga Museum

Dzieci wychowywane były w dość dużej swobodzie, nie zakazywano im różnych inicjatyw, a wręcz doradzano i pomagano. Dziewczynki wpadły kiedyś na pomysł, żeby zaopiekować się sierotami z Kretyngi. Każda z trzech sióstr wzięła pod opiekę jedno dziecko. Ponieważ koło Klasztoru Bernardynów mieszkało mnóstwo tzw. „dewotek”, które nic

innego nie miały do roboty jak chodzić na codzienne roraty i odprawiać godzinki. Może więc na coś się jeszcze przydadzą. Za odpowiednią opłatą umieszczono u tych bogobojnych kobiet sieroty. Panny Tyszkiewiczówny kupiły w miasteczku tkaniny i dały pałacowej krawcowej, żeby ta uszyła odpowiednie ubrania. Lekcji same udzielały. Oczywiście wszystkie koszty ponosiły ze swojego kieszonkowego. Hr Zofia, gdy się o tym dowiedziała bardzo była zadowolona. Mniej za to jej się spodobał następny pomysł, a mianowicie loteria fantowa., która miała zasilić kasę „fundacji dobroczynnej”. Przez cały rok zbierano fanty, od kogo się dało. Latem w Połudze miała być urządzona loteria dla gości, z biletami po dwa ruble, każdym wygrywającym. Kiedy matka dowiedziała się o tym przedsięwzięciu, postawiła ostre veto. *Nie wypada posługując się swoim nazwiskiem korzystać z uprzywileżowania letników* – powiedziała i sama wykupiła wszystkie fanty.

Inną inicjatywą i to przeprowadzoną przy dużej pomocy rodziców, było utworzenie w Kretyndze szpitalika. Przeznaczono na ten cel Starą Szwajcarkę w ogrodzie, ustawiono łóżka, wynajęto osobę do pilnowania, a lekarz domowy, będący przecież na etacie w pałacu i tak nie był przez cały dzień zajęty, żeby nie mógł doglądać chorych. Dziewczynki kontrolowały wydatki i odwiedzały tych, których nie stać było na leczenie poza Kretynką.

No, ale już chyba największym przedsięwzięciem, mającym zasilić kasę dobroczynną, była budowa domu w Połędzie, z przeznaczeniem na wynajem lub sprzedaż. W tej kwestii młodym pannom radą i pomocą służył brat Władzio, który był jednym z pomysłodawców, a poza tym jako esteta już od urodzenia, służył za jedyny autorytet w kwestii urządzenia, doboru mebli czy tkanin. Wyszukano odpowiednie miejsce, koło lasu, niedaleko morza. Plac od rodziców dostali darmo i z wielkim entuzjazmem zaczęli budowę, na kredyt oczywiście. Willa miała mieć sześć pokoi, kuchnię, piwnicę oraz balkon. Na początku wydawało się, że powstaje domek dla lalek, a nie dla ludzi, ale po skończeniu prac wyszedł całkiem ładny. Władzio oczywiście z wielkim gustem i w dobrym stylu dom urządził, a pan Hejduk zadbał, by na piaszczystej ziemi, wokół willi coś wyrosło. Znalazła się też lokatorka, baronowa Ungernstenborg z córką i synem, która najpierw dom wynajęła, a potem kupiła za pokaźną sumę. Zaciągnięty kredyt był więc szybko spłacony, a do zysku dołożył się Władzio z podobną kwotą i pieniądze te przeznaczono na założenie Pogotowia Ratunkowego w Wilnie.

Lecz najbardziej oczekiwanym okresem w roku były wakacje i wyjazdy nad morze na cały sezon do Połagi.

Dalszy ciąg nastąpi - Połaga

Źródła:

Zapiski Zofii z Tyszkiewiczów Potockiej, Biblioteka Narodowa w Warszawie.

Materiały archiwalne w Archiwum Miejskim w Wilnie.

Pamiętnik Heleny z Tyszkiewiczów Ostrowskiej, kopia rękopisu ze zbiorów Hanny i Adama Tyszkiewiczów.

Wywiad z rządcą Tyszkiewiczów z Landwarowa (zapis na taśmie magnetofonowej, pochodzący z lat 80. XX w.).

GALERIA



Pałac Tyszkiewiczów w Kretyndzie, fot. Wrzesław Żurawski



Pałac Tyszkiewiczów w Kretyndze, fot. Wrzesław Żurawski



Pałac Tyszkiewiczów w Kretyndze, strop, fot. Wrzesław Żurawski



Pałac Tyszkiewiczów w Kretyndze, obecnie muzeum, fot.
Wrzesław Żurawski



Kretynga, oranżeria, fot. Wrzesław Żurawski



Kretynga, wnętrze pałacu, fot. Wrzesław Żurawski



Pałac Tyszkiewiczów w Kretyndze, obecnie muzeum, fot.

Wrzesław Żurawski

Zdjęcia pałacu Tyszkiewiczów w Kretyndze autorstwa Wrzesława Żurawskiego zostały wykonane we wrześniu 2018 roku.

Zobacz też:

Landwarów

Tyszkiewiczowie. Landwarów.

Kretynga, część 1

Tyszkiewiczowie. Kretynga 1.

Tyszkiewiczowie. Kretynga 1.



Pałac w Kretyndze, fotograf nieznany, 1925 r., © Kretinga Museum

Joanna Sokołowska-Gwizdka (*Austin, Teksas*)

Kretynga leżała na Żmudzi, nad rzeką Okmianą, na drodze z Taurogonu. W chwili kupna, majątek był brzydki, nie było żadnego dworu tylko dwa domy położone jeden wyżej, drugi niżej. Z dawnych czasów przetrwała „Stara Szwajcarka” i stare dęby, sadzone jeszcze przez Chodkiewiczów, dawnych właścicieli, pochowanych w krypcie kościelnej. Drzewa te zostały otoczone wyjątkową opieką, puste w środku wypełniono kamieniami, a na zewnątrz ściągnięto żelaznymi obręczami. Nowo wybudowana rezydencja nie miała określonego stylu i nie przypominała z przepychem urządzonego pałacu. Nadal

wyglądała jak dwa osobne domy, tyle że odnowione. Różnica poziomów między nimi wynosiła ok. 2 metrów.

Na pierwszym piętrze wyższego domu urządzono bibliotekę, obok gabinet, z którego hr Józef kontrolował przez lunetę ruch w alei lipowej. Przy oknie w gabinecie znajdowała się tzw. „trąba”, przez którą można było porozumiewać się z kancelarią na parterze. Za gabinetem i biblioteką, pokój sypialny właścicieli, a obok ubieralnie i garderoby. Na parterze oprócz kancelarii, pokoi służbowych i kuchni zainstalowano łazienkę, niestety tylko jedną dla wszystkich domowników. Ponieważ od strony drugiego, mniejszego domu wjeżdżało się do rezydencji, na parterze znajdował się duży hol. Obok był pokój jadalny, używany tylko dla dzieci na ranne śniadania, poza tym duży salon oraz pokoje gościnne i kredens. Z wielkiego korytarza na pierwszym piętrze z jednej strony widać było park i kaskadę, a z drugiej ogród zimowy z ozdobnym balkonem. Z korytarza wchodziło się do pokoi dzieciennych, pokoi guwernantek i gościnnych. W suterenie znajdowała się jadalnia dla administracji, tzw. „drugi stół” i jadalnia dla służby tzw. „trzeci stół”, kredens, spiżarnia i mała kapliczka.



Józef Tyszkiewicz, 1881-1885 r., fot. Aleksander Władysław Strauss, © Kretinga Museum



▪ Zofia z Horwattów Tyszkiewiczowa, 1908 r., fot. H. Gaudichon, © Kretinga Museum

Ale hr Józef nie byłby sobą, gdyby nie zaczął wymyślać czegoś oryginalnego. Tak więc te zwykłe w sumie domy połączył, urządzonym z baśniowym przepychem, sławnym potem w całej Europie, Ogrodem Zimowym. W ogrodzie wybudowano małe stawy, połączone kanałami, a nad nimi przerzucono mostki. Nad stawami dwa wodotryski. Między nimi kaskada wpadająca do trzeciego stawu z wysokości jednego piętra. Dół ogrodu otoczono

sztucznymi skałami i grotami. W największej z nich podawano potem bezpłatnie podwieczorki licznym wycieczkom przybywającym z Kłajpedy, Tylży, Królewca i letnikom z Połągi. W grocie tej można było zmieścić aż sto osób. Sprowadzono niezwykle cenne okazy egzotycznych roślin. Słynna „Aurecaria” dochodziła do wysokości drugiego piętra. Tę samą wysokość osiągały liczne palmy sprowadzone z Afryki. Ogród Zimowy oświetlony był trzema łukowymi lampami elektrycznymi, dla których hr Józef wybudował elektrownię poruszaną turbiną wodną podczas jesiennej słoły, a parą wodną uzyskaną z opalanego drzewem lub torfem wielkiego kotła, podczas zimy. Z czasem lampy łukowe zamieniono na żarówki. Elektrownia domowa służyła też potem do oświetlenia pałacu, domów administracyjnych, zabudowań folwarcznych itd.

W chwili zakupu w Kretyndze nie było parku, oprócz starych drzew, pozostałości po hetmanie Chodkiewiczu. Hr Józef sprowadził więc z Schönbrunnu pod Wiedniem, Węgry, pana Hajduka, słynnego ogrodnika-planistę, dla zaprojektowania kretyngowskiego parku i dopilnowania wszystkich robót. Słynny królewski ogrodnik zabrał się więc do pracy. Teren wybitnie nadawał się do założenia parku, ze względu na naturalnie pofałdowany teren i rzekę Okmianę, oraz wpadający do niej malowniczy strumień. W parowie, wzdłuż trasy strumyka ustawiono trzy zapory wodne. Utworzono trzy stawy. Dwa stawy zasilają turbinę wodną, a przy okazji woda spływająca po

sztucznych skałach tworzyła malowniczą kaskadę. Trzeci, najwyżej położony staw, mający ok. 2 km, zasilał park, pałac i niektóre zabudowania gospodarcze. Ten staw w obrębie parku, stanowiący kiedyś podmokłą część lasu, był od zabudowań na tyle oddalony, że zamieszkiwały go stada dzikich kaczek, czapli i pary czarnych bocianów.



Fragment parku w Kretyндzie, fot. Józef Mickiewicz, pocz. XX w.,
© Kretinga Museum

Park składał się z trzech części. Ogród francuski, znajdował się przed samym pałacem. Cztery duże kwadraty, czyli tzw. „gabinety”, otoczone były szpalerami strzyżonych lip. Każdy kwadrat ozdobiony został cementowym basenem z wodotryskiem, wypływającym z dużych kompozycji z brązu. Po

rogach kwadratu na cokołach ustawiono mitologiczne rzeźby. Ścieżki wysypano żwirem i kwiaty, przeważnie róże, poukładano w wielkich ilościach. Park angielski otaczał stawy, aleję i ścieżki. Do parku włączono las ze wszystkimi polankami i drózkami. Na tym terenie znajdowała się „Bazantarnia” i wielkie ogrody warzywno-owocowe oraz liczne szklarnie, tzw. „cieplarnie”. Park w całości zajmował ok. 300 dziesięcin.

Kretynga, jak każdy majątek, miała mnóstwo folwarków. Wszystkie folwarki i leśnictwa połączono z administracją kretyngowską, siecią telegraficzną, zamienioną potem na telefoniczną. Telefony nie posiadały centrali i dzwonek. Ze ściany wystawała gruba rura, służąca jednocześnie do słuchania i rozmowy. Na każdej wisiała trąba, którą wzywano odpowiedni folwark. Z powodu braku centrali elektrycznej, sygnał i rozmowy słyszały wszystkie folwarki oraz leśniczówki jednocześnie. Każdy odbiorca miał umówiony sygnał, jeden długi, jeden krótki, dwa długie itd. Personel zatrudniony przy utrzymaniu linii powietrznych na słupach, obsługiwał te linie, jeżdżąc na wielocypedach (rower z przednim kołem wielkim i dwoma małymi z tyłu). Hr Józef nadal miał pasję nabywania wszystkich nowości technicznych, jakie pojawiły się na europejskim rynku. Szczególnie dotyczyło to maszyn rolniczych. Z reguły nie nadawały się one do tutejszych warunków. Po pierwszej próbie odstawiano je więc do specjalnie na ten cel przeznaczonej hali.



Pałac w Kretyndzie, fot. Paulina Mongird, 1890 r., © Kretinga Museum



Pałac w Kretyndze, widok na oranżerię, fotograf nieznany, pocz. XX w, © Kretinga Museum

Majątki Kretynga i Połąga, położone na samym końcu Żmudzi i Kurlandii, pomiędzy granicą pruską, a morzem Bałtyckim, nie miały żadnego połączenia kolejowego z resztą Rosji, ani nawet dobrych dróg. Najbliższa stacja kolejowa, Libawa, znajdowała się w odległości 70 wiorst (ok. 71 km), a drogą do Libawy można było przejechać tylko latem. W Landwarowie kolej przebiegała za blisko, tu za daleko. Z konieczności stosunki z Prusami stały się więc ożywione. Memel, czyli Kłajpeda, oddalona była zaledwie 20 km, a na codzienny użytek mieszkańcy nadgraniczni otrzymywali, odnawialne, dwutygodniowe przepustki. Do tego portowego miasteczka jechało się końmi ok. 2 godzin. Droga do

granicy była błotnista i wyboista, ale zaraz za nią wjeżdżało się na niemiecką porządną szosę. Za szlabanem granicznym odpowiedni urzędnik pobierał opłatę, wyciągając na długim kij naczynie przypominające łyżkę, służące do wrzucania pieniędzy. Przez granicę wolno było przejeżdżać tylko od wschodu do zachodu słońca, tak więc przy większej ilości spraw, należało w Memlu przenocować. Początkowo służył do tego celu miły hotelik w centrum, a potem hr Józef kupił na obrzeżach miasta domek z ogrodem i tam można już było się swobodnie zatrzymywać. Do pilnowania domu wynajęto Frau Klein, która wraz z mężem prowadziła gospodarstwo. Głównym jej zadaniem było jednak przyjmowanie ogromnej ilości paczek, które przychodziły do Tyszkiewiczów i nie tylko. Zawartość paczek to książki drukowane w Poznaniu i Krakowie, a zakazane w Wilnie czy w Warszawie. Nie tylko polskie, ale i litewskie, jak np. książka do nabożeństwa drukowana w Tylży. Rosjanie chcieli przyzwyczaić Litwinów do czytania cyrylicą i gładolicą, nie zgadzali się na książki pisane alfabetem łacińskim. Ponieważ rozporządzenie wyszło w 1863 r. przewożono książki, drukowane niby wcześniej, wtedy uchodziły za zabytek. Odpowiedni urzędnik na granicy otrzymywał od hr Józefa stałą opłatę w gotówce i w naturze, przymykał więc często oczy na te ogromne ilości książek polskich i litewskich, rozsyłanych potem do Wilna, Kowna i Warszawy. Dla dzieci taki szmugiel był zwykle dużą zabawą, a przy tym miały one poczucie spełnienia obowiązku patriotycznego.

Wyjazdy dalsze do Wilna, Warszawy czy Petersburga było bardziej skomplikowane. Za każdym razem trzeba było postarać się o paszport i pisać w tym celu podanie do Kowna, a czasem i do Petersburga. Paszport był ważny na jeden wyjazd, bez względu na granicę, którą się przekraczało i jeden wjazd z powrotem. Powodowało to duże utrudnienia w podróżowaniu. Bo jeśli wyjechało się w Kretyndze, a wjechało w Wierzbołowie, jadąc do Wilna, w Wilnie trzeba było się starać o nowy paszport, aby móc wrócić do Kretyngi.

Kretynga leżała na Żmudzi, a Połąga w Kurlandii. Obie miejscowości należały do zaboru rosyjskiego, ale w Kretyndze można było używać języka polskiego jedynie w publicznych wystąpieniach, natomiast w Połądze swobody były większe, organizowano więc polskie przedstawienia, śpiewano pieśni, co dla Polaków jest zawsze bardzo ważne.

Ludność z okolic Kretyngi mówiła po żmudzku, ale z urzędnikami rozmawiało się po polsku, gdyż przez wiele lat właścicielami ziemskimi byli Polacy i przez kontakty z Polską, niektóre warstwy społeczeństwa litewskiego przejęły polską kulturę. W Połądze, mimo że położonej w Kurlandii, przeważnie słyszało się język żmudzki, a za Połągą ludność mówiła po łotewsku. Łotysze zachowali swój strój narodowy, co bardzo rzucało się w oczy. Kobiety chodziły w krótkich, fałdowanych spódnicach oraz w gorsetach z białymi, płóciennymi rękawami i w fartuchach, a

wszystko w kolorach czarno-granatowo-zielonych. Ze względu na bliskość Kłajpedy rozpowszechniony był w tych okolicach język niemiecki. Poza tym Żydzi używali żargonu, a urzędnicy mówili po rosyjsku.



Aleksander Tyszkiewicz, który odziedziczył Kretynę (1864-1945), fot. Benedykt Henryk Tyszkiewicz, II poł. XIX w., © Kretinga Museum

Życie rodziny Tyszkiewiczów toczyło się więc między Kretyną a Połągą, między zimą a sezonem letnim, połągowskim. Wszystko

szło swoim rytmem. Dzieci rosły, chłopcy uczyli się w Petersburgu, pozostając pod opieką wychowawcy pana Bahra. Przyjeżdżali do domu tylko na wakacje i święta. Dziewczynki miały swoich domowych nauczycieli. Każde z dzieci wykazywało inne zainteresowania, miało inne upodobania i charakter.

Aleksander, dobroduszny, szczupły, o jasnych włosach, ciemnych brwiach i oczach jak u *poczciwego, wiernego psa*, był bardzo lubiany. Uprzejmy pogodny, miał zawsze coś ciekawego do powiedzenia. Gdy wracał z jakiejś podróży opowiadał wszystko ze szczegółami, od samego początku, od wyjazdu. Mówił przy tym tak barwnie i z tyloma opisami, które wprawdzie nie zawsze miały zbyt dużo wspólnego z prawdą, ale słuchać go można było godzinami.

Władysław był zawsze pełen życia i bardzo towarzyski. Jako wielki esteta interesował się strojami, meblami, sztuką, antykami. Trochę zbyt lekkomyślnie wydawał pieniądze i dlatego zwykle miał długi. Jako mały chłopiec mniejsze, potem, jako starszy większe.

Antoni, w młodości bardzo szczupły, potem diametralnie zmienił kształty. Był typem dobrodusznym, nigdy nikomu niczego nie miał za złe. Robił wciąż jakieś interesy, na przemian dobre i złe.

Józef, bardzo wysoki brunet, zupełnie był inny niż jego bracia.

Bardzo oszczędny, skrupulatny we wszystkich drobiazgach. Nie znosił, żeby uważano go za lepszego niż sam się uważał. Jeśli ktoś go pochwalił za jakiś dobry uczynek, zaraz się tłumaczył, że intencje jego nie były tak szlachetne.

Feliks, wyróżniał się wybitną urodą. Jasny blondyn o regularnych rysach twarzy i pięknych oczach w ciemnej oprawie. Kiedyś, gdy przyszedł w odwiedziny do ciotki Klementyny Potockiej z Łańcuta, ta zawołała *jakiś ty piękny, jak to zrobiłeś mając tak brzydkich rodziców*. Poza tym Feliks był cichy, skryty, łagodny.

Bracia mieli zaplanowane zawody, wiadomo było, do jakich szkół pójdą. Aleksander i Feliks do Szkoły Inżynierów Wojennych, Władysław do Szkoły Prawa, Antoni do Instytutu Aleksandryjskiego, Józef do Korpusu Paziów.



Maria Tyszkiewicz (1871-1943) w parku w Kretyndzie, fotograf nieznan, pocz. XX w., © Kretinga Museum

Z sióstr Maria była silną indywidualnością. Od najmłodszych lat zapowiadała, że za męża nie wyjdzie, bo interesuje ją nauka. Już mając kilkanaście lat wymogła na rodzicach, żeby uczyć ją wyższej matematyki. W tym celu przyjeżdżał raz na tydzień nauczyciel z Gimnazjum w Połędzie. To samo było z religią. Maria wciąż coś studiowała, wciąż miała nowe „hobby”. Matematyka, fizyka, filozofia, poezja, a nawet esperanto.

Zosia była innym typem. Cicha i spokojna, a przy tym bardzo wrażliwa i inteligentna. Nigdy nie odzywała się nie pytana, a i pytana nie zawsze, dzięki czemu była niedoceniana przez nauczycielki.

Najmłodsza Helena Klodylda to przeciwieństwo siostry. Wszędzie jej było pełno, wciąż coś psociła, na lekcjach odpowiadała zwykle lepiej, mimo że umiała gorzej. Zosia nie lubiła lalek, ani zwierzątek, które Helenka wręcz uwielbiała.

Młodsze dzieci nie pamiętały już ojca zdrowego, tylko poruszającego się na wózku. Ciężka choroba hr Józefa zaczęła się od nieszczęśliwego wypadku. Raz jadąc konno w marcu, chciał skrócić drogę i przepłynął wpław przez rzekę. Wrócił do domu mokry i zziębnięty. Długo potem chorował i nigdy już nie wyleczył się z ciężkiej choroby serca. Poza tym do płuc wdała się puchlina wodna, tak że trzeba było co kilka miesięcy tę wodę wypompowywać. Do tych zabiegów przyjeżdżali najświetniejsi lekarze z uniwersytetu w Królewcu. Raz sławny profesor, mimo całej swojej wiedzy, przebił płuco i wywołał zapalenie płuc. Tak więc Józef Tyszkiewicz na wiele lat był przykuty do wózka, co niezmiernie przeżywał. Jak tylko poczuł się lepiej, najczęściej po wypompowaniu wody, zaraz miał jakieś nowe pomysły przebudowywania czegoś, czy rozbudowywania. Żona wtedy tak się cieszyła z tego stanu, że bez względu na to ile pieniędzy miało dane przedsięwzięcie pochłonąć, wspierała i zachęcała.

Duszości nie pozwalały choremu spać leżąc, więc miał w łóżku specjalnie wycięte miejsce, wyłożone materacami. Żona najczęściej w szlafroku spała obok niego, żeby być w pogotowiu, gdy będzie trzeba np. podać morfinę. Hr Józef tak się przyzwyczaił do jej obecności, że gdy tylko gdzieś wychodziła, zaraz wołał: *Zosiu, Zosiu*. Wstydział się swojej choroby, nawet przed dziećmi. Nie miał kiedyś rodziny i kontaktu z rodzicami, nie potrafił więc nawiązać kontaktu z własnymi dziećmi. Stwarzał dystans, który paraliżował strachem.

Matka, wiecznie zajęta prowadzeniem domu, interesami i ciągłą opieką nad chorym ojcem, też nie potrafiła otoczyć atmosferą miłości i ciepła, którego w dzieciństwie tyle potrzeba. Dzieci odwiedziły matki, w swoim, mniejszym domu, łączyły zwykle z jakimś wydarzeniem, np. gdy w pokoju spadł sufit, zasypało biurka i część podłogi, gdy któreś z dzieci było ciężko chore, lub wiosną w porze egzaminów, dla skontrolowania postępów w nauce. Wychowaniem licznej, młodej latorośli zajmowały się głównie bony i nauczycielki, precyzyjnie dobierane przez rodziców. A kryteria w dobieraniu były różne. Dla hr Zofii najważniejszy był intelekt, umiejętności, ukończone szkoły i komunikatywność. Dla hr Józefa bezwzględnie wymaganym warunkiem w przypadku nauczycielki była uroda. W tym celu kazał wraz z ofertą przysyłać fotografię. Przeglądał potem nadesłane zdjęcia i brzydkie kandydatki natychmiast odrzucał. Raz osoba starająca się o posadę przysłała bardzo piękny swój

wizerunek, a w liście zaznaczyła, że w rzeczywistości jest jeszcze ładniejsza. Na tę więc hr Zofia kategorycznie się nie zgodziła.



Pałac w Kretyndze, fot. Paulina Mongird, 1890 r., © Kretinga Museum

Hr Józef poza tym stawiał jeszcze jeden warunek, który dotyczył wszystkich pracowników, również na stałe przebywających, lekarzy, inżynierów i rzemieślników. Każdy kandydat na pracownika musiał grać na jakimś instrumencie, lub śpiewać. Pan na Kretyndze kochał muzykę, a od kiedy siedział w domu przykuty do wózka, była ona jego jedyną rozrywką. Orkiestrę musiał mieć przez cały rok. Sprowadził w tym celu z Czech grupę rodzin rzemieślniczych, których członkowie należeli do różnych zespołów muzycznych. Przez jakiś czas pomysł zdał egzamin, bo

ludzie ci pracowali w majątku i tworzyli dość zgraną grupę muzyczną. Z czasem jednak orkiestra się rozproszyła, Czesi powrócili do swojego kraju, została tylko jedna rodzina Suchanków, która wrosła już w nowe warunki. W związku z tym hr Józef zapragnął stworzyć orkiestrę z domowników, no i koniecznie musiała być zatrudniona nauczycielka muzyki, która dawałaby regularne koncerty.

Najodpowiedniejszą kandydatką wydała się 20-letnia Fräulein Retty. Selma Retty, córka Włocha i Niemki, wysoka blondynka o niebieskich oczach w ciemnej oprawie, przyjechała zaraz po ukończeniu Konserwatorium w Berlinie. Koncertowała już jako pięcioletnie „cudowne dziecko”. Wszyscy twierdzili, że rzeczywiście była niezwykle utalentowana, nigdy się nie przygotowywała, każdy utwór, Chopina, Bethovena czy Mozarta, potrafiła zagrać ze słuchu, wprawiając słuchaczy w niemały zachwyty. Po przyjeździe do Kretyngi układała więc programy, rozdawała role w duetach czy tercetach, tworzyła amatorski chór. Doktor grał na wiolonczeli, nauczycielka Angielka śpiewała pięknym mezzosopranem, a Fräulein z braku głosu *ślicznie gwizdała*. Nuty sprowadzane były z Berlina, na galerii zimowego ogrodu ustawiano fortepian, a wokół zasiadali domownicy. Do tego na dole, wśród grot i egzotycznych palm, zbierała się publiczność z miasteczka. Selma Retty w długiej wydekoltowanej sukni schodziła w przerwie na dół i kłaniając się pięknie zbierała oklaski od licznych wielbicieli jej talentu.

Hr Józef był tak zachwycony nowym muzycznym nabytkiem, że wszyscy przymykali oczy na licznie jej wady i dziwadztwa. Przede wszystkim nie spełniała roli, do jakiej była przeznaczona, nauczycielki muzyki i niemieckiego. Uwielbiała wszelkie wyjazdy, co było w zasadzie jej głównym zajęciem. Wszędzie miała znajomych i przyjaciół, wszędzie gnały ją jakieś interesy. Jak zaprzęgane były konie przed stajnią, obojętnie kto i dokąd jechał Fräulein była już naszykowana do podróży. Czy to do Połągi, czy do Kłajpedy (Memla), czy też do jakiegoś folwarku, wszędzie była pierwsza. W związku z tym nie miała kiedy udzielać lekcji. Niemiecki był wyznaczony na godziny popołudniowe, muzyka na ranne. Po południu więc Fräulein gdzieś podróżowała, a rano była strasznie zmęczona po nocnych wizytach u znajomych. Zwykle ziewając wstawała z łóżka, dawała jakąś game do zagrania, po czym zaczynała przyjemnie gawędzić, częstując dzieci cukierkami, których miała mnóstwo od wielbicieli.



Rodzina Tyszkiewiczów, 1880-1882 r., fotograf nieznan. © Kretinga Museum

Była przy tym bardzo nieporządna. Jako główny lokator jej pokoju naczelne miejsce zajmował kot, znaleziony przypadkiem w parkowej alei, który uwielbiał spać na rzucanych na podłogę wieczorowych sukniach. Zapytana kiedyś, dlaczego się nie myje, przecież wstyd mieć tak brudne nogi odrzekła, że sama nie umie się myć. Nigdy tego nie robiła, myła ją mama, po przebudzeniu, gdy jeszcze rano leżała w łóżku, zanim poszła do Konserwatorium. Mamy nie ma, więc mycia też nie ma. Chcąc nie chcąc sprowadzono więc mamę z Berlina, poczciwą starszą kobietę.

Jeszcze jeden był powód przywiezienia pani Retty. Młoda Fräulein przybiegła kiedyś ze łzami w oczach do hr Józefa, błagając go, żeby ją chronił, bo idzie do niej dawny narzeczony po to, by ją zabić. Zrobiła przy tym tyle paniki, że wyobrażano już sobie jakiegoś draba z twarzą przestępcy. Tymczasem w parkowej alei zobaczono miłego, skromnego młodziana z *rozwianym włosom i krawatem w motyl związanym, fruującym około kołnierzyka*, którego nie stać było na wynajęcie powozu, więc od Kłajpedy 20 km szedł pieszo. Hr Józef spokojnie z młodym człowiekiem porozmawiał, zapytał się, co robi i jakie ma zamiary. Gdy dowiedział się, że jest to niegroźny i utalentowany rzeźbiarz, umieścił go na stacji u doktorostwa Attenmajerów, a dla zwiększenia bezpieczeństwa, zdecydował o zaproszeniu matki egzaltowanej Fräulein.

Panna Retty nigdy sobie nic praktycznego nie kupowała, z wycieczek przywoziła jedynie mnóstwo drogich fotografii, sztychów i reprodukcji. Materiały na suknie przypominały raczej pluszowe obicia meblowe, a nie tkaninę nadającą się do noszenia. Wiecznie gdzieś fruwała w obłokach, myśli zajmując sprawami wyższej wagi niż przyziemne drobnostki. Jakież więc było zdziwienie całej rodziny i innych domowników, gdy Fräulein Retty oznajmiła pewnego dnia, że wychodzi za mąż i to za kogo, za brzydkiego, grubego z pokiereszowanymi policzkami lekarza domowego dr Orthmana. Doktor miał wprawdzie ładny głos, grał na wiolonczeli i był dobrym lekarzem, ale poza tym był dużo

starszy i ogólnie nieciekawym, tak że młoda artystka zwykle z niego kpiła. Skąd więc ta nagła zmiana? Otóż dr Orthman odziedziczył po stryju malowniczo położone sanatorium w Düsseldorfie. Odezwał się więc we Fräulein zmysł praktyczny, którego nikt się nie spodziewał. Postawiła jednak warunki za swoje sakramentalne: tak. Będzie miała swój powóz i konie, będzie jej wolno jeździć, gdzie zechce i kiedy zechce, cukierków i słodyczy dostanie w dowolnej ilości, no a pocałować da się tylko raz dziennie, nie częściej.

Tak więc mimo tych wszystkich dziwactw i nie spełnieniu roli, dla jakiej młoda nauczycielka była sprowadzona, wszyscy płakali, gdy odjeżdżała. Ubywała dusza artystyczna, organizatorka tych wszystkich wspaniałych koncertów i na dodatek zabierała wiolonczelistę. O nowego lekarza nie było trudno, ale żeby jeszcze do tego dobrze grał, to już większy kłopot. Po Fräulein Retty nastąpiła Niemka Fräulein Kale, ale ta tylko uczyła języka i gam, czasy wieczorów przy fortepianie minęły więc bezpowrotnie. Wszyscy na nią narzekali, a ona zupełnie nie wiedziała, o co chodzi, bo przecież swój zawód wykonuje sumiennie.

GALERIA



Pałac Tyszkiewiczów w Kretyndze (Litwa), widok od strony ogrodu, fot. Wrzesław Żurawski



Kretynga, oranżeria, fot. W. Żurawski



Kretynga, oranżeria, fot. W. Żurawski



▪ Kretynga, oranżeria, fot. W. Żurawski



■ Kretynga, oranżeria, fot. W. Żurawski



Dwa domy, wyższy i niższy, Józef Tyszkiewicz połączył oranżerią,
fot. Wrzesław Żurawski



Kretynga, oranżeria, fot. W. Żurawski

Zdjęcia pałacu Tyszkiewiczów w Kretyndze autorstwa Wrzesława Żurawskiego zostały wykonane we wrześniu 2018 roku.

Zobacz też:

Tyszkiewiczowie. Landwarów.

Kretynga, część 2

Tyszkiewiczowie. Kretynga 2.

Z dziejów rodu Tyszkiewiczów. Wielkanoc na Żmudzi.

Joanna Sokołowska-Gwizdka



Pałac Tyszkiewiczów w Kretyndze. W środku, oszklony Ogród Zimowy z egzotycznymi roślinami.

Na Żmudzi życie toczyło się ustalonym rytmem, od sezonu letniego do sezonu letniego, od świąt do świąt. Dzieci rosły, a dzień płynął za dniem. Wszystkim się wydawało, że czas stoi w miejscu i że nic go nigdy nie zmieni, że rodzinne tradycje, siadanie przy wspólnym stole, obyczaje i zwyczaje świąteczne są częścią ustabilizowanego, spokojnego życia.

Na Wielkanoc mniej gości przyjeżdżało z daleka. Stół wielkanocny szykowano ogromny. Wszyscy oficjaliści dworscy i inteligencja z miasteczka przychodziła składać życzenia, zapraszani więc byli do stołu. Licznie do kretyngowskiego domu przybywali urzędnicy rosyjscy oraz wojskowi z popem na czele. Wprawdzie niechętnie ich się widziało, bo taki widok raził

uczucia patriotyczne, ale wrodzona polska gościnność nakazywała, by ich też zaprosić na świąteczny poczęstunek. Hr Zofia nie mówiła po rosyjsku, więc uprzejmie się uśmiechała, kiwała głową i dawała znaki domownikom, by gościom napełniali talerze. Dopiero, gdy wszyscy byli obsłużeni, wolno było gospodarzom i młodzieży nałożyć sobie.

„Święcone” trwało dwa tygodnie. Przez pierwsze dwa dni świąt nie podawano na gorąco rosółu, potem można już było jeść wszystko. Szynki, pieczeń cieleca, głowizna, młode prosiaki, drób, ryby w galarecie, rosyjskie paschy, wspaniałe do tego sosy w wielkim wyborze. Największą atrakcją były jednak ciasta. Olbrzymi „baumkuchen” miał metr wysokości. Do tego dwanaście ogromnych mazurków, pomarańczowy, kawowy, czekoladowy, daktyłowy, migdałowy, bakaliowy, królewski itd. Ponieważ kucharze w Kretyndze głównie pochodzili z kresów, więc wyspecjalizowani byli w świątecznych babkach. Na stole musiało być co najmniej dziesięć gatunków: chlebowa, petynetowa, kawowa, szafranowa... Kucharze coraz to donosili świeże potrawy, uzupełniali znikające. Przez pierwszych kilka dni jedzenie może i było atrakcją, bo takiej obfitości różnych specjałów na co dzień nie jadano, ale po dwóch tygodniach to i najbardziej wykwiniona potrawa, podana w nadmiarze mogła się przejeść.



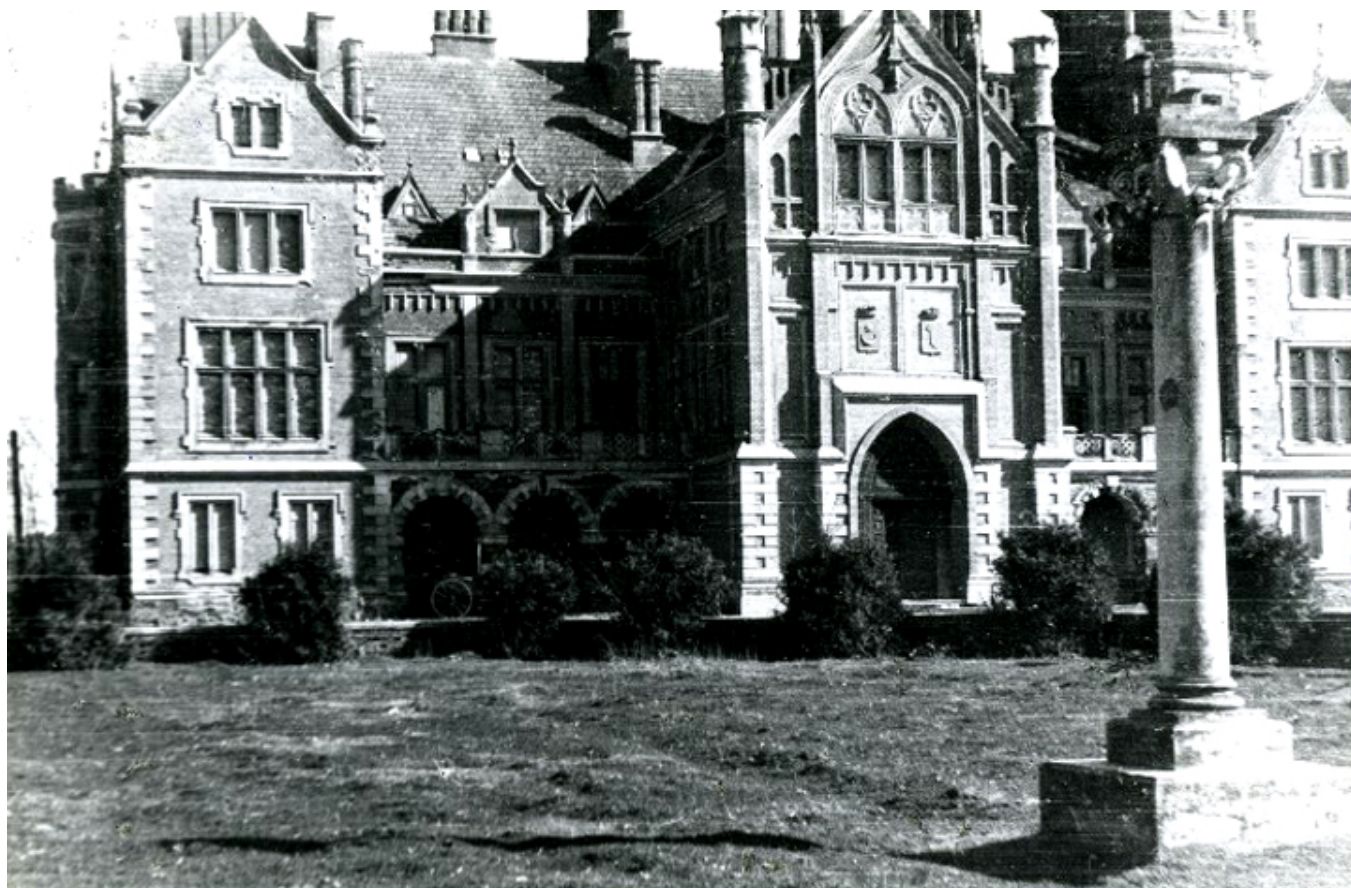
Ogród Zimowy przy pałacu Tyszkiewiczów w Kretyndze.

Józef hr Tyszkiewicz (1835-1891), syn Józefa i Anny z Zabieliów urodził się, podobnie jak starsi bracia, w Łohojsku, rozległych dobrach na Białorusi. Wcześnie stracił rodziców, prawie ich nie pamiętał. Pewnie po dziadku Michale, pułkowniku, odziedziczył bujną fantazję, temperament czasów saskich i szeroki gest, a że już od najmłodszych lat zdradzał zamiłowanie do służby wojskowej, więc oddano go do Korpusu Paziów w Petersburgu. Gdy ukończył naukę przydzielony został do Szumskiego Pułku Huzarów, jako adiutant generał-gubernatorów Bibikowa, a potem Nazimowa. Po ojcu otrzymał dużą fortunę, co pozwoliło mu realizować marzenia, oddawać się

wielkiej miłości do koni, no i prowadzić niezwykle barwne i bujne, jak na owe czasy, życie. Odziedziczył dobra Izabelin w powiecie oszmańsko-wilejskim, Kojrany, Guszlawki, Połągę na Żmudzi, która była jeszcze wówczas mało odwiedzaną wioską rybacką i inne wielkie latyfundia. Poza tym on i jego bracia, otrzymali od stryja Jana, I ordynata birżańskiego, po jednym milionie rubli, co było sumą nie małą. W roku 1855, od dwóch córek marszałka Dąbrowskiego, młody hrabia kupił majątek Landwarowo, położony niedaleko Wilna.

Po zainstalowaniu się w zameczku, w swojej nowej siedzibie, mógł hr Józef swobodnie prowadzić ruchliwe i bardzo towarzyskie życie, między Landwarowem, a Wilnem, gdzie wzywały go obowiązki służbowe. Jako wysokiej rangi oficer skorzystał z przydziału dwudziestu pięciu żołnierzy kawalerzystów – Kozaków. Towarzyszyli mu oni we wszystkich wyprawach, podróżach i przygodach wynikających z bujnego temperamentu, fantazji i pomysłowości. Pozwolił im zabrać na Litwę swoje żony, w wyniku czego miał w Lanwarowie jeszcze dwadzieścia pięć dorodnych Kozaczek, co tworzyło już niemały zastęp oddanych mu ludzi, zdolnych przyjść z pomocą w różnych sytuacjach. Nie raz przecież musiał stoczyć różne większe i mniejsze bitwy, jak chociażby z dwudziestoma bandytami pod Górą Ponarską. Jak to oficerowie w wojsku, co jakiś czas bijatyka, a co jakiś pijatyka. Raz tak się upił, że służba znalazła go leżącego w rynsztoku i odprowadziła do domu. Bardzo było

mu potem wstyd, złożył więc mocne postanowienie, że do końca życia do ust kieliszka nie weźmie. Innym razem w Landwarowie, dla zabawy zorganizował z wielkim rozmachem popisy przed gośćmi tzw. „dżigitowkę” czyli skakanie przez bryczki. Czyżby czasy i fantazja Kmicica na Litwie wcale się nie skończyły?



Pałac w Landwarowie, fot. S. Łukasiewicz, 1939 r.

Szeroko komentowanym wybrykiem młodego adiutanta gubernatora, była słynna sprawa z końmi. Chcąc sobie ułożyć życie w Wilnie, kupił w Petersburgu trójkę wspaniałych „rysaków”, którymi jeździł po mieście. Cały ten ekwipaż wzbudzał nie lada sensację. Nazimow nie był z tego powodu

zadowolony i nakazał Tyszkiewiczowi konie odesłać na wieś. Z braku koni młody hrabia z nie lada fantazją, najął... trzech brodatych, rosnących mężczyzn i sownie im zapłacił. Po czym zaprzągnął ich w trójkę do sań. Jednego z rudą brodą w środku, dwóch z czarnymi brodami po bokach. I tak jeździł po Wilnie. Wtedy nie skończyło się na lekkim upomnieniu, tylko już większej naganie.

Generał-gubernator Nazimow wyraźnie lubił Tyszkiewicza. W duchu to nawet podobała mu się ta polska fantazja. Przymykał więc oko na wiele rzeczy i starał się go chronić. Tak było w przypadku sprawy z zaprzęgiem. Hr Józef, jako wojskowy, posiadał w Landwarowie zaprzęg rosyjski. Niezmiernie raziło to uczucia narodowe jego młodej narzeczonej, wielkiej patriotki. Chcąc więc jej zaimponować, wymyślił niespodziankę. Kazał wyszykować zaprzęg krakowski. Przebrał furmana i służącego na koźle w strój krakowski i pojechał po narzeczoną. Podczas, kiedy zaprzęg czekał na ulicy, policja zobaczyła zakazane przecież polskie stroje, służący i furman zostali więc aresztowani i wychłostani. Kiedy hr Tyszkiewicz to zobaczył, wściekłość jego nie miała granic. Jakim prawem karana jest służba. Ja to zrobiłem, to był mój pomysł i moje ryzyko i tylko ja powinienem ponieść konsekwencje. Pobiegnął szybko do Nazimowa, zerwał odznaki wojskowe i wraz ze szpadą rzucił mu pod nogi. Oznajmił, że pod takim rządem to on nie ma zamiaru służyć, po czym wyszedł trzasnąwszy drzwiami. Przez kilka dni

czekał, co z tego wyniknie. Wiedział, że grozi mu sąd wojskowy i kara śmierci. Nazimow jednak niczego nie potwierdził. Nawet, gdy został wezwany do Petersburga, bo i tam wieść doszła o wyczynie Tyszkiewicza, kategorycznie wszystkiemu zaprzeczył, twierdząc, że gdyby taka rzecz faktycznie się zdarzyła, to adiutant już byłby rozstrzelany.



Józef Tyszkiewicz i Zofia z Horwattów, fot. Wikimedia Commons.

Ponieważ nie zanosiło się, że młody Tyszkiewicz sam z siebie się ustatkuje, rodzina, stryjowie i starsi bracia postanowili go ożenić. Zaczęto szukać dla niego odpowiedniej rodziny, mającej aktualnie córkę na wydaniu. Wybór padł na Horwattów, dość blisko spokrewnionych z Tyszkiewiczami. Wybrano odpowiednią

porę i wysłano hr Józefa do pięknie położonego na Polesiu nad Prypecią Barbarowa. Skierowano go do najmłodszej Zofii, *bardzo miłej, choć wcale nieładnej panny*. Młody hrabia był przerażony. Jak dotąd na nieładne panny uwagi nie zwracał. Długo się wahał. Rodzina była więc wyrozumiała i dała młodemu trochę czasu, żeby się poznali. Zofia miała tak pogodne usposobienie i tyle dobroci, że w końcu Tyszkiewicz dał się namówić. Ślub odbył się w 1861 roku w Barbarowie w pięknym i ogromnym pałacu, urządzonym z wielkim przepychem i gustem. Po wszystkich niezwykle wzniosłych uroczystościach, młodzi udali się do Landwarowa, a potem do Paryża.

Józef wychowany bez rodziców, uczący się w szkołach rosyjskich, nie był aż tak negatywnie nastawiony do zaborców, co teściowie. Miał przyjaciół wśród Rosjan, z którymi dorastał, służył w rosyjskim wojsku. Żona natomiast z domu wyniosła wielki patriotyzm i pragnęła stworzyć polską, katolicką rodzinę. Raziło ją bardzo, że mąż bez problemu nosi rosyjski mundur i jeździ *trójką z kuczerem po rosyjsku ubranym*. Miała jednak nadzieję, że są to tylko powierzchowne przyzwyczajenia i z czasem, pod jej wpływem się zmienią. Miała rację, hr Tyszkiewicz zdecydował się wystąpić z wojska. Dał też znaczną sumę pieniędzy na zakup broni dla powstańców, mimo tego, że był zdecydowanie przeciwny niepotrzebnemu rozlewowi krwi i represjom. I jak przewidywała rodzina po ślubie się ustatkował.



Pałac w Landwarowie od frontu, fot. Joanna Sokołowska-Gwizdka.

Tyszkiewiczowie zamieszkali najpierw w Landwarowie. Ze względu na bliskość węzła kolejowego rezydencja oprócz „zwykłych” gości, rodziny i sąsiadów, przeżywała istne naloty krewnych, kuzynów i dalszych znajomych. Pociągi jeździły wówczas rzadko, czasami i tydzień trzeba było czekać na przesiadkę. Jechano więc do Tyszkiewiczów, gdzie czas szybko płynął i z tygodnia robił się nie wiadomo kiedy miesiąc. Nic więc dziwnego, że po 10 latach takiego życia hr Zofia, mimo staropolskiej gościnności, miała już serdecznie dosyć tych nieustających i nie kończących się wizyt. Postanowiono przenieść swoją siedzibę, jak najdalej od węzła kolejowego. Fantazja hr

Józefa pognęła od razu daleko, za morze. Rozważany był wyjazd za granicę na stałe. Złożyło się na to wiele przyczyn, a przede wszystkim rosyjskie represje po powstaniu styczniowym i ciągle nowe prześladowania w Wilnie. Donoszono, że wyszedł zakaz mówienia po polsku na ulicy i w miejscach publicznych. Podobno córka generał-gubernatora Kachanowa zadenuncjowała krawcową, ponieważ do pomocnicy odezwała się po polsku. Hrabia Tyszkiewicz stwierdził więc, że sprzeda wszystkie majątki, zabierze dzieci ze szkół i całą rodziną wyemigrują.

Ja wiem, że strasznie będę tęsknić za krajem - mówił - ale moje dzieci będą tam już wychowane, inaczej będą się czuły, nie będą pariasami, tak jak tutaj. Moim obowiązkiem jest poświęcić się dla nich.

Zaczął się studiowanie map, dyktowanie listów dla zebrania informacji. Hr Józef starał się dobrać kraj o podobnej przyrodzie i warunkach klimatycznych. Wybór padł na Kanadę. Hr Zofia przeciwna była wyjazdowi. Uważała, że żadne prześladowania ich nie zrusyfikują, ani nie zgermanizują, a obowiązkiem każdego Polaka jest trzymać się swojej ziemi. Po dyskusjach, głębszym namyśle i namowach żony, hr Józef zrezygnował z wyjazdu do Kanady. W 1870 roku kupił od generał-gubernatora wileńskiego, hr Zubowa majątek Kretynga, położony niedaleko odziedziczonej Poługi i tam postanowiono przenieść swoją główną siedzibę.



Pałac Tyszkiewiczów w Kretyndze.



Pałac Tyszkiewiczów w Kretyndze.

Źródło:

Helena z Tyszkiewiczów Ostrowska, Wspomnienia, maszynopis, arch. Hanny i Adama Tyszkiewiczów, Los Angeles.

O rodzinie Tyszkiewiczów na Culture Avenue:

<http://www.cultureave.com/choinka-w-zimowym-ogrodzie/>

<http://www.cultureave.com/nie-ma-nic-wiecznego-na-tej-ziemi/>

Choinka w Zimowym Ogrodzie



Joanna Sokołowska-Gwizdka

Kretynga leżała na Żmudzi, nad rzeką Okmianą, na drodze z Taurogonu. W chwili kupna, majątek był brzydki, nie było żadnego dworu tylko dwa domy położone jeden wyżej, drugi niżej. Z dawnych czasów przetrwała „Stara Szwajcarka” i stare dęby, sadzone jeszcze przez Chodkiewiczów, dawnych właścicieli, pochowanych w krypcie kościelnej. Drzewa te zostały otoczone wyjątkową opieką, puste w środku wypełniono kamieniami, a na zewnątrz ściągnięto żelaznymi obręczami. Nowo wybudowana rezydencja nie miała określonego stylu i nie przypominała z przepychem urządzonego pałacu. Nadal wyglądała jak dwa osobne domy, tyle że odnowione. Różnica poziomów między nimi wynosiła ok. 2 metrów. Na pierwszym piętrze wyższego domu urządzono bibliotekę, obok gabinet, z którego hr Józef kontrolował przez lunetę ruch w alei lipowej. Przy oknie w gabinecie znajdowała się tzw. „trąba”, przez którą można było porozumiewać się z kancelarią na parterze. (...) Ale hr Józef nie byłby sobą, gdyby nie zaczął wymyślać czegoś oryginalnego. Tak więc te zwykłe w sumie domy połączył, urządzonym z baśniowym przepychem, sławnym potem w całej Europie, Ogrodem Zimowym. W ogrodzie wybudowano małe stawy, połączone kanałami, a nad nimi przerzucono mostki. Nad stawami dwa wodotryski. Między nimi kaskada wpadająca do trzeciego stawu z wysokości jednego piętra. Dół ogrodu otoczono sztucznymi skałami i grotami. W największej z nich podawano potem bezpłatnie podwieczorki liczным wycieczkom przybywającym z Kłajpedy, Tylży, Królewca i letnikom z Połagi.

W grocie tej można było zmieścić aż sto osób. Sprowadzono niezwykle cenne okazy egzotycznych roślin. Słynna „Aurecaria” dochodziła do wysokości drugiego piętra. Tę samą wysokość osiągały liczne palmy sprowadzone z Afryki. Ogród Zimowy oświetlony był trzema łukowymi lampami elektrycznymi, dla których hr Józef wybudował elektrownię poruszaną turbiną wodną podczas jesiennej słyoty, a parą wodną uzyskaną z opalanego drzewem lub torfem wielkiego kotła, podczas zimy. Z czasem lampy łukowe zamieniono na żarówki.



Kretynka, po lewej stronie pałacu Ogród Zimowy, fot. Joanna Sokołowska-Gwizdka

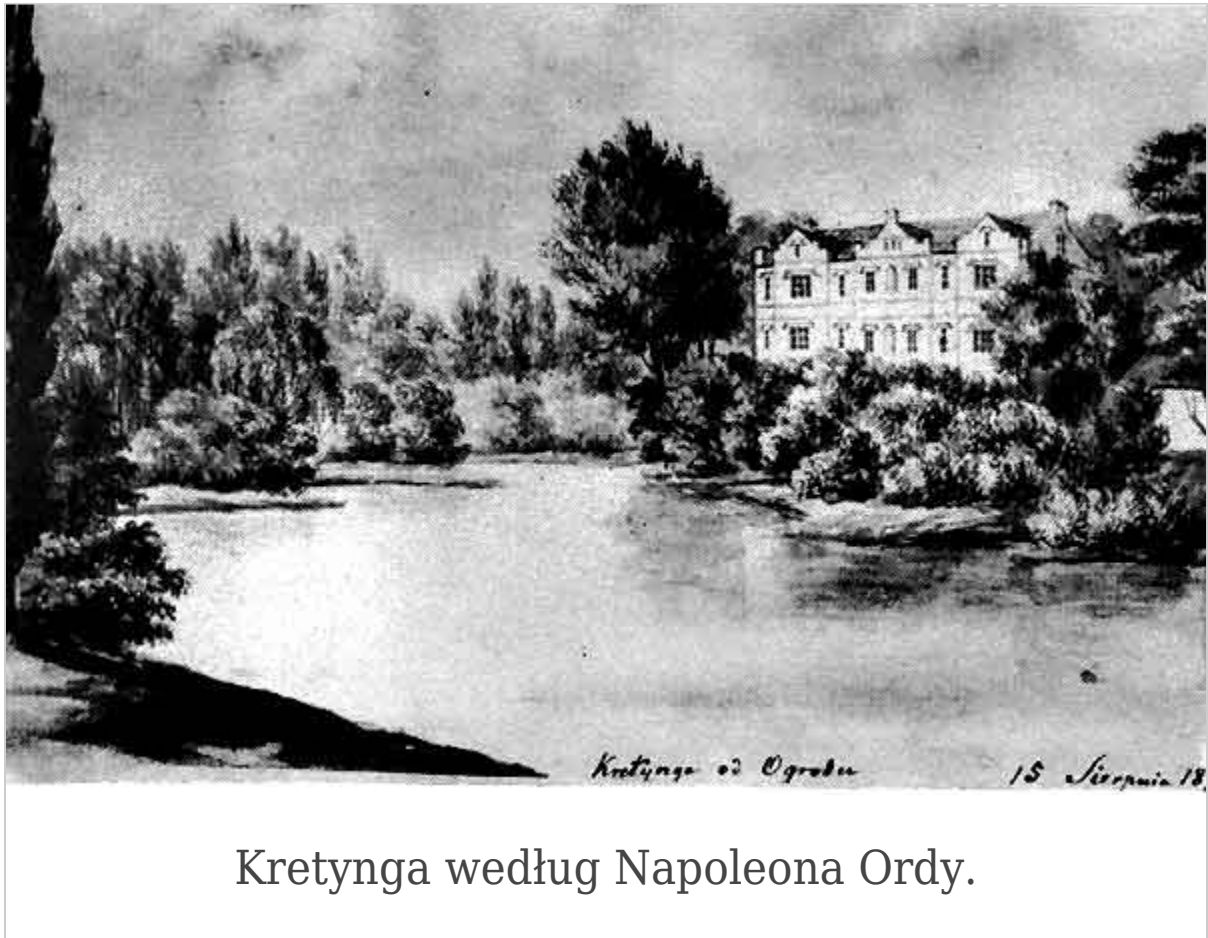
Życie rodziny Tyszkiewiczów toczyło się więc między Kretynką a Połągą, między zimą a sezonem letnim, połągowskim. Wszystko

szło swoim rytmem. Dzieci rosły, chłopcy uczyli się w Petersburgu, pozostając pod opieką wychowawcy pana Bahra. Przyjeżdżali do domu tylko na wakacje i święta. Dziewczynki miały swoich domowych nauczycieli. Każde z dzieci wykazywało inne zainteresowania, miało inne upodobania i charakter.

Wychowaniem licznej, młodej latorośli zajmowały się głównie bony i nauczycielki, precyzyjnie dobierane przez rodziców. A kryteria w dobieraniu były różne. Dla hr Zofii najważniejszy był intelekt, umiejętności, ukończone szkoły i komunikatywność. Dla hr Józefa bezwzględnie wymaganym warunkiem w przypadku nauczycielki była uroda. W tym celu kazał wraz z ofertą przysyłać fotografię. Przeglądał potem nadesłane zdjęcia i brzydkie kandydatki natychmiast odrzucał. Raz osoba starająca się o posadę przysłała bardzo piękny swój wizerunek, a w liście zaznaczyła, że w rzeczywistości jest jeszcze ładniejsza. Na tę więc hr Zofia kategorycznie się nie zgodziła. Hr Józef poza tym stawiał jeszcze jeden warunek, który dotyczył wszystkich pracowników, również na stałe przebywających, lekarzy, inżynierów i rzemieślników. Każdy kandydat na pracownika musiał grać na jakimś instrumencie, lub śpiewać. Pan na Kretyndze kochał muzykę, a od kiedy siedział w domu przykuty do wózka inwalidzkiego, była ona jego jedyną rozrywką. Orkiestrę musiał mieć przez cały rok. Sprowadził w tym celu z Czech grupę rodzin rzemieślniczych, których członkowie należeli do różnych zespołów muzycznych. Przez jakiś czas pomysł zdał

egzamin, bo ludzie ci pracowali w majątku i tworzyli dość zgraną grupę muzyczną. Z czasem jednak orkiestra się rozproszyła, Czesi powrócili do swojego kraju, została tylko jedna rodzina Suchanków, która wrosła już w nowe warunki. W związku z tym hr Józef zapragnął stworzyć orkiestrę z domowników, no i koniecznie musiała być zatrudniona nauczycielka muzyki, która dawałaby regularne koncerty. Najodpowiedniejszą kandydatką wydała się 20-to letnia Fraulein Retty. Selma Retty, córka Włocha i Niemki, wysoka blondynka o niebieskich oczach w ciemnej oprawie, przyjechała zaraz po ukończeniu Konserwatorium w Berlinie. Koncertowała już jako pięcioletnie „cudowne dziecko”. Wszyscy twierdzili, że rzeczywiście była niezwykle utalentowana, nigdy się nie przygotowywała, każdy utwór, Chopina, Beethovena czy Mozarta, potrafiła zagrać ze słuchu, wprawiając słuchaczy w niemały zachwyt. Po przyjeździe do Kretyngi układała więc programy, rozdawała role w duetach czy tercetach, tworzyła amatorski chór. Doktor grał na wiolonczeli, nauczycielka Angielka śpiewała pięknym mezzosopranem, a panna Retty z braku głosu „*ślicznie gwizdała*”. Nuty sprowadzane były z Berlina, na galerii Zimowego Ogrodu ustawiano fortepian, a wokół zasiadali domownicy. Do tego na dole, wśród grot i egzotycznych palm, zbierała się publiczność z miasteczka. Selma Retty w długiej wydekoltowanej sukni schodziła w przerwie na dół i kłaniając się pięknie zbierała oklaski od licznych wielbicieli jej talentu. Hr Józef był tak zachwycony nowym muzycznym nabytkiem, że

wszyscy przymykali oczy na licznie jej wady i dziwactwa. (...)



Kretynga według Napoleona Ordy.

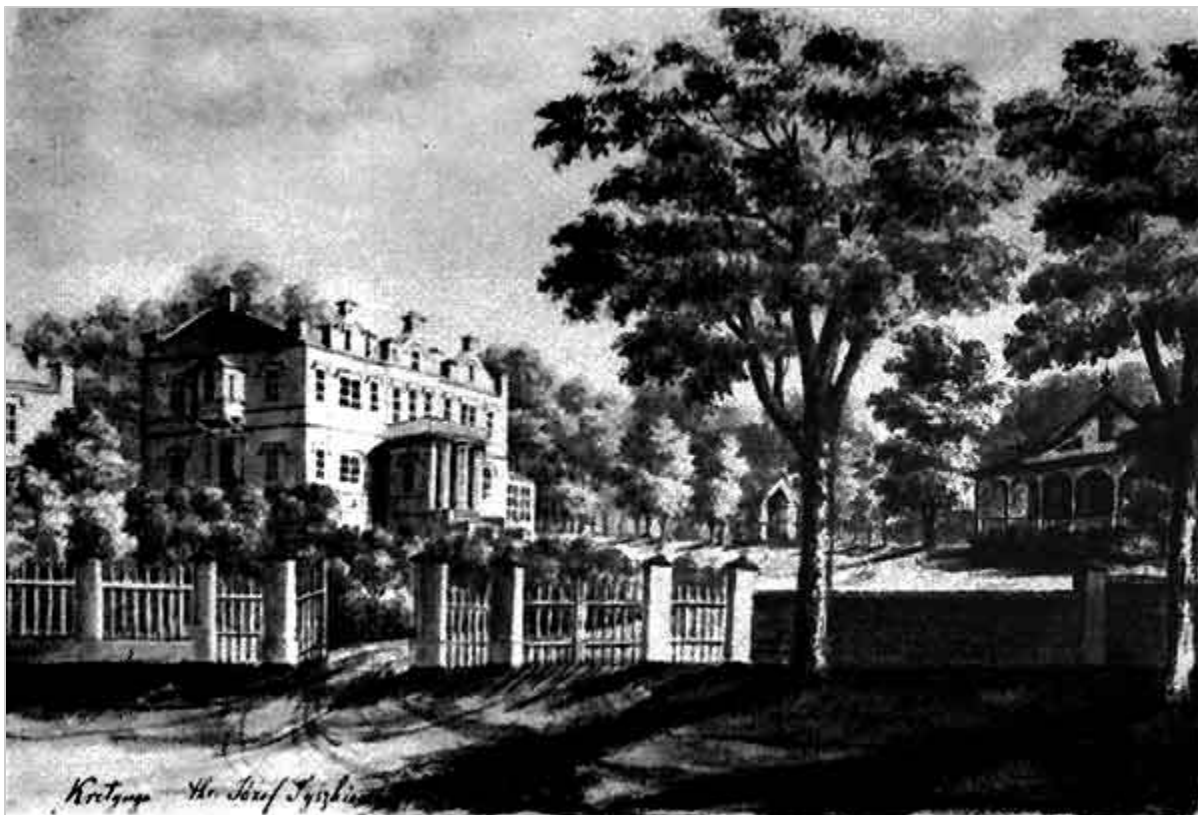
Hr Józef jako zagorzały wielbiciel wszelkiego rodzaju wynalazków, musiał mieć też przy sobie na stałe inżyniera, albo elektrotechnika, którzy również zaliczali się do domowników. No i oczywiście nie można zapomnieć o plenipotencie, panu Jarmułowiczu. Jego zadaniem było objeżdżać wszystkie liczne i rozległe majątki. Miał on dużą rodzinę, więc żonę wysyłał na zimę do miasta, a sam zamieszkiwał w kretyngowskim domu. Pan Jarmułowicz był wielkim patriotą, uwielbiał literaturę polską i często przy stole, wieczorami z wielkim namaszczeniem odczytywał strofy z poematów Mickiewicza, Słowackiego,

Krasińskiego. Robiło to na wszystkich domownikach duże wrażenie. Ci wszyscy ludzie, zarówno rodzina, jak i rezydenci, nauczyciele i inni należeli do tzw. „pierwszego stołu”. Był jeszcze „drugi ” i „trzeci stół”.

Do „drugiego stołu” należeli wszyscy ci, którzy skupiali się w tzw. Bufecie. Tam schodzili się na posiłki różni domowi pracownicy, a rządziła tu wszechmocnie apteczkowa. Była ona szafarką kuchni, stołowni i spiżarni. Drugą wszechwładną osobą w bufecie była panna Petronela Pylińska. Zwyczajowo rodzice wydając córkę za mąż, dawali jej wraz z wyprawą schludną, starannie ubraną osobę, która miała się tą wyprawą opiekować i pomagać młodej mężatce w prowadzeniu domu. Taką osobą była panna Petronela. Panna służąca musiała być szlachcianką, nawet z drobnej szlachty i odróżniała się od pokojówek, chociażby tym, że siedziała przy drugim stole, a nie przy trzecim. Pokojówka zwykle usługiwała pannie służącej, sprzątała jej pokój, dbała o jej rzeczy. Do obowiązków panny służącej było przychodzić co rano do dzieci, lub do państwa, budzić, dzieci czesać i ubierać, utrzymywać wszystkie osobiste rzeczy w porządku. No i naturalnie każda osoba w majątku Tyszkiewiczów musiała umieć co najmniej śpiewać. Panna służąca zwykle nie zgadzała się siedzieć w razie potrzeby przy stangrecie, bo uważała, że swój honor ma i to jej ubliża. Tak więc taką osobistą panną służącą była dla hr Zofii panna Pylińska, otrzymana jakoby w posagu od rodziców Horwattów z Barbarowa. Wyglądała na dostojną

matronę, niezwykle schludną, zawsze starannie ubraną z nienagannie białym i wykrochmalonym kołnierzykiem i żabotem, włosy uczesane z przedziałką, nigdy nie oparła się siedząc, zawsze prosta i sztywna, jak ten wykrochmalony kołnierzyk. Rodowita wilnianka mówiła czystym akcentem wileńskim, używała słów, które nie wszyscy znali. Mówiła „meszty” na pantofle, „kolonki”, na spinki do mankietów, wasistas na lufcik. Miała przy tym mnóstwo właściwych sobie powiedzonek „*niech cię kaczki podepczą*” czy „*na pochyłe drzewo kozy skaczą*”. W starszym wieku zrobiła się bardzo gderliwa, co stało się już nawet uciążliwe. Wiecznie marudziła, „*a po co to wszystko*”, „*nic z tego dobrego nie wyniknie*”, „*a po co pani hrabina tego tyle kupuje*”, „*po co tyle pieniędzy wydawać*” itd. W każdym razie stanowiła z całą swoją oryginalnością jeden ze stałych elementów kretyngowskiego domu. Do bufetowego towarzystwa należały też i inne panny służące. Czasami do bufetu przychodziły nauczycielki, bo atmosfera tam zwykle była pogodna i wesoła. Grano w karty, żartowano, muzykowano na mandolinie.

Trzeci stół, najliczniejszy, obejmował głównie pracowników fizycznych, pracujących w obrębie majątku. (...)



Kretynga według Napoleona Ordy.

W Kretyndzie pora roku wyznaczała codzienny bieg. Jesienią wokół domu było jeszcze mnóstwo róż i roztaczającej wspaniały zapach lawendy. Aleje usypane żołądkami i kasztanami, tonęły w kolorowych liściach. Zimą pod dom zajeżdżały sanie po skrzypiącym śniegu. A wiosną na trawnikach wyskakiwały pierwsze fiołki i klomby białych anemonów. Potem koło jeziora i kaskady ukazywały się konwalie. Do tego dochodzące dzwony od strony Klasztoru Bernardynów i pianie kogutów od strony folwarków. Potem na trzy miesiące wszystko cichło, pustoszało, zaczynał się sezon Połagowski.

Ten uregulowany, kretyngowski, jesienno-wiosenny tryb życia zmieniał się diametralnie dwa razy do roku w okresie świąt. Przyjeżdżali wówczas chłopcy ze szkół w Petersburgu i liczni goście. Czuło się, że jest święto. Pięciu dorastających młodzieńców wprowadzali ogromny ruch i ożywienie, opowiadali o swoich różnych szkolnych wyczynach. Uważano za rzecz naturalną, że młodsze siostry są na ich usługi. Nawet hr Zofia, zwykle zajęta sprawami majątkowymi i chorobą męża poświęcała im dużo uwagi. Wyjątkową słabość miała do Władysława, który był taki czarujący. A że zwykle nie miał umiaru w wydatkach, matka często go potajemnie wspomagała. Hr Józef wymagał, żeby synowie ze swojej comiesięcznej pensji odkładali jakąś określoną sumę, jako żelazne „*l'argent de garde*”. Wszyscy się do tego stosowali, tylko nie Władzio, który był takim estetą, kochał się w pięknych przedmiotach, no i miał niezwykle hojny gest dla biednych, że nie umiał sobie z tym poradzić. (...) Najstarszy Oleś wykazywał okazywał swoją dojrzałość we wszystkim, co robił. Starał się zastępować chorego ojca, każdemu coś poradził, młodsze siostry traktował z pobłażaniem.

Podczas świąt Bożego Narodzenia niezwykle przyjemnie było siedzieć wśród palm, szemrzącego wodospadu i całej tej egzotycznej zieloności, gdy za oknem była śnieżna, zimowa zawierucha. Hr Tyszkiewiczowie w Landwarowie i zaraz po przeprowadzeniu się do Kretyngi urządzali dla swoich dzieci choinkę. Później, gdy dzieci już podrosły, zrezygnowali z tego

zwyczaju, ku niezadowoleniu tych najmłodszych. Choinka urządzana była tylko dla dzieci służby. Przeznaczano na ten cel pieniądze, które do dyspozycji dostawały już miesiąc wcześniej młode panny Tyszkiewiczówny. Miały one zrobić listę dzieci, przewidzieć co im najbardziej potrzeba i z czego się ucieszą i przygotować prezenty. Choinkę ogromnej wielkości ustawiano w Ogrodzie Zimowym. Przyozdabiana mnóstwem zabawek, świecidełek i lampek, a na końcu owijana od góry do dołu cieniutkimi, złotymi nićmi, tworzącymi mieniącą się sieć, wyglądała imponująco. Dzieci służby czekały na dole ogrodu, aż się je zawoła na rozdanie prezentów.



Tyszkiewiczowie, portret rodzinny wiszący w pałacu w Kretyndze, fot. Joanna Sokołowska-Gwizdka.

Wigilia obchodzona była bardzo uroczyście. Na kolację wigilijną, tzw. „kucję” zapraszano oprócz domowników i gości wszystkich, całe towarzystwo z bufetu oraz niektóre rodziny oficjalistów dworskich i księży z pobliskiego klasztoru. Poziom wykształcenia

i kultury wśród duchowieństwa był niski, bo bez pozwolenia władz nie wolno było przyjmować kandydatów na duchownych do seminarium, a władze wydawały pozwolenia tylko dla tych, o miernych zdolnościach. Tak więc siedzący przy stole różowy, jowialny, nie za wiele mający do powodzenia ksiądz Proboszcz Terpejko, zaczynał „kucję” od modlitwy i dzielenia się opłatkiem ze wszystkimi obecnymi. Na stole wigilijnym były trzy zupy: migdałowa, barszcz z uszkami i zupa z wina tzw. szodonowa. Potem ryby: szczupak faszerowany, karp z rodzinami, ryby smażone w cieście i słodkie dania: kisiel, kluski z makiem, kompot z suchych owoców. Młodzi Tyszkiewiczowie sadzani byli pomiędzy księży i oficjalistów dworskich, a hr Józef bacznie im się przyglądał jak radzą sobie z konwersacją z sąsiadami. Z reguły nie za wiele mieli wspólnych tematów. Wymagania dotyczące zachowania się wobec innych były rygorystycznie przestrzegane. Gdy goście wyjeżdżali z Kretyngi, żeby zdarzyć na odpowiedni pociąg, musieli wyjść ok. 7 rano. Nie do pomyślenia było, żeby któryś z chłopców nie wstał pożegnać się, obojętnie czy to była niedziela, czy święta. Jeżeli, któryś z synów zasnął, musiał natychmiast napisać list z przeproszeniem do odjeżdżającego gościa i dać ojcu do wysłania. Po wigilijnej kolacji, zaczynał się uroczysty koncert, z głośnym śpiewaniem kolęd przez wszystkich domowników i pracowników. Dopiero drugiego dnia świąt otrzymywało się prezenty, ale w innej formie, niż spod choinki. Rodzice, dzieci, nauczycielki i goście dostawali po trzy losy, wszystkie wygrywające. Do pierwszej

kategorii należały prezenty bardziej kosztowne, artykuły podróżne, przybory do pisania, ozdoby do pokoju, do drugiej trochę mniejsze, a do trzeciej drobiazgi. Po śniadaniu wszyscy wchodzili do salonu, gdzie na dużym stole poustawiane były wszystkie przedmioty biorące udział w loterii fantowej. Po wylosowaniu zaczynała się druga część zabawy, wymienianie się w sposób jak najbardziej korzystny.

Podczas świąt oprócz rodziny, która przyjeżdżała z daleka, Kretynę odwiedzali też sąsiedzi. Najczęstszymi gośćmi byli ks. Ogińscy z Pługian. Najpierw zajeżdżały sanie, albo karetą zaprzężoną w czwórkę koni, ze strzelcem na koźle obwieszczającym, że księżę pan jedzie. Po czym wysiadał księżę Michał, mały, czarny, z długim, podkreconym wąsem, wyglądem przypominającym Włocha, szybki, ruchliwy, jakby się gdzieś spieszył. Potem w bramie ukazywał się następny podobny ekwipaż, którym w odwiedzinie przybywała księżna pani z domu Skórzewska. Smutne pędziła życie w ogromnym pałacu w Pługianach, sama, bez dzieci, odwiedzin w sąsiedztwie zwykle więc celebrowała. U Ogińskich tylko raz do roku odbywały się wielkie zjazdy, na św. Michała. Wtedy wszystkie orkiestry (a każdy z braci miał swoją) miały pole do popisu. Balowano cały tydzień. Ogromny, z przepychem urządzony pałac i jeszcze większy park zapełniał się gośćmi, ruchem i gwarem. Co jednak te orkiestry robiły cały rok, tylko Bóg raczy wiedzieć. Legendy krążyły po okolicy o starej księżnej Ogińskiej, z domu

Kalinowskiej. Podobno była niegdyś nałożnicą cara i stąd jej wygórowane mniemanie o sobie. Przed ślubem syna Michała miała swój własny, wygodny apartament w Płungianach. Kiedyś przyjechała odwiedzić młodą parę po ślubie, dowiedziała się od służby, że podczas jej nieobecności nocował w jej apartamencie, tak się zdenerwowała, że kazała wszystkie meble oraz to co się dało zerwać ze ścian wynieść na dziedziniec i publicznie spalić, po czym nigdy już do syna nie przyjechała.

Goście typu księżna i książę Ogińscy wprowadzali bardzo ceremonialną atmosferę. Myślano tylko o tym co wypada, a co nie, żeby przypadkiem kogoś nie urazić. Dzieci nie zawsze jednak stosowały się do etykiety. Raz podczas takich bożonarodzeniowych odwiedzin młodzież wymyśliła zabawę. Czerpiąc wodę z malowniczo położonych szemrzących strumyków na dole Zimowego Ogrodu zaczęła oblewać sikawkami gości siedzących na galeriach i sztywno prowadzących dysputę, jak to w dobrych towarzystwach bywa. O dziwo, goście żądni odwetu chwycili za dzbanki i lali z góry na chybił trafił. Mimo ewidentnych szkód i konieczności zmiany garderoby, towarzystwo się rozruszało i wesoło już było do wieczora. W okresie świąt nie lada rozrywką były zabawy teatralne, mające typowy charakter salonowy. Układano szarady, wystawiano muzyczne na ogół jednoaktówki, przedstawiano żywe obrazy, z całym pietyzmem do ról się przygotowując. W amatorskie przedstawienia zaangażowani byli wszyscy,

gospodarze, goście i służba. Bale kostiumowe też były pożądane, jako jedna z rozrywek.. Kiedyś, ku zdumieniu wszystkich, wbiegł, a raczej wskoczył wielkimi susami, gość z sąsiedztwa Stanisław Gawroński, przebrany za kota, z wielkim czarnym ogonem i długimi wąsami. Podobno służący obszywał go całą noc skórkami króliczymi, aż zaszył go całkowicie zostawiając tylko otwór na oczy.

Nowy Rok obchodzono tradycyjnie. Gdy wybiła 12.00, wszyscy szli do kościoła na modlitwę, potem kierowali się do gabinetu ojca, gdzie czekały już poustawiane kieliszki z szampanem i wielkie torty z wypisaną nową datą. (...)

Na Żmudzi życie toczyło się więc ustalonym rytmem, od sezonu letniego do sezonu letniego, od świąt do świąt. Dzieci rosły, a dzień płynął za dniem. Wszystkim się wydawało, że czas stoi w miejscu i że nic go nigdy nie zmieni, że rodzinne tradycje, siadanie przy wspólnym stole, obyczaje i zwyczaje świąteczne są częścią ustabilizowanego, spokojnego życia.

Józef Tyszkiewicz z żoną Zofią z Horwattów i dziećmi przenieśli się z Landwarowa do Kretynki po Powstaniu Styczniowym.